

Ażeby opowiedzieć sprawy związane z moimi przeżyciami wojennymi, chciałbym się cofnąć do przeszłości. Pochodzę z rodziny, jak to się dzisiaj mówi, robotniczej, urzędniczej, później kolejarskiej. Ojciec mój był emigrantem w Westfalii. Tam się też urodziłem 30 listopada 1911 roku, w powiecie Dortmund w zagłębiu węglowym, tam gdzie ojciec pracował, początkowo w górnictwie, a później, na skutek kontuzji jaką odniósł na froncie I wojny światowej w wojsku niemieckim, został zdemobilizowany i zatrudniony w kolejnictwie. Pracował na kolei tamże w tym zagłębiu Westfalii. Zacząłem uczęszczać do niemieckiej szkoły w czasie pierwszej wojny mając lat siedem. Ale jednocześnie uczęszczałem popołudniami do szkoły polskiej. Szkoła polska prowadzona była - prawda - w ramach Towarzystwa "Sokół", czy jakiegoś śpiewaczego "Lutnia". Rodzice dbali o to, żebym jednak tego języka polskiego nauczył się i raczej wychowywał się - tak jak zresztą wszyscy Polacy w Westfalii - w duchu polskim narodowym. Pamiętam z tego okresu, to był rok 1918 chyba, kończy się wojna, wiadomo, że wśród żołnierzy tworzą się tam jakieś, prawda, rady robotnicze, a to jest zagłębie robotnicze, więc tam to szczególnie wydatnie się odczuwało no i trudno mi dzisiaj, prawda, powiedzieć ze wspomnieć, jak to rzeczywiście przebiegało, ale spotkała mnie taka przygoda. Mianowicie bawiąc się z dziećmi, rówieśnikami swoimi na rynku, mieszkaliśmy bowiem tuż przy rynku w tejże miejscinie *Zadingsen* pod Dortmundem. Był taki pomnik na środku rynku, jak to we wszystkich tych miasteczkach, tak zwany Denkmal, to jest pomnik ku czci tych

bohaterów - żołnierzy niemieckich i w pewnym momencie z restauracji wypada tłum ludzi. Widzę, że zacierają ku temu pomnikowi temu Denkmalowi. Zauważyłem, jedni mają opaski czerwone, a inni mają opaski czarno-biało-czerwone (schwarz-weiss-rot), to znaczy niemieckie monarchistyczne. To mi utkwiło w pamięci i zrobił się wielki szum i tłok - prawda - myśmy zostali z tymi dzieciakami, jeszcze psa mieliśmy takiego starego, i tego pieska, żeśmy tam, prawda, wyciągali. Zaczął się robić tumult, ktoś tam na tym pomniku przemawiał, krzyczał. Zaczął się robić tupot i w pewnym momencie zaczęło to się wszystko kotłować i my musieliśmy uciekać. Przede mną tam też ci jacyś ludzie ucho- dzili i ja zierzam w kierunku domu, to jest jakieś 50 metrów do bramy, gdzie mieszkałem. No i w pewnym momencie czuję, że za mną ktoś biegnie tupa, tupa, prawda i ogłuszony padam, uderzony jakimś ciężkim przedmiotem. Straciłem przytomność i na tym się moja, że tak powiem, świadomość skończyła. Dopiero się...

- Ile lat miał pan wtedy, tak policzmy?

Więc to był osiemnasty rok - siedem lat, jako siedmiolatek, no to się pamięta, prawda. Obudziłem się dopiero w mieszkaniu sąsiada, pana Holthausa, jak dziś pamiętam, który był zdemobilizowanym żołnierzem sanitariuszem wojskowym. Ten mnie tam opatrywał, prawda, owijał głowę, bo oczywiście miałem poharatowaną, i oczywiście matka i tutaj wszyscy i słyszę jak rozmawiają, że to socjaliści. Tacy tam prawda die Sozialisten, że oni robili ten rejwach i że oni tak, prawda, takiego chłopca tutaj poturbowali. Można by powiedzieć, że to było moje pierwsze zetknięcie się z historią. Byłem ofiarą rewolucji, bo to była rewolucja socjalistyczna w Niemczech.

- Zaskakujące to, że dziecko uderzono.

No więc...

- Jak pan to tłumaczy?

Więc, proszę pana, to było w ten sposób, że tłum, ścisk był i prawdopodobnie jeden gonił drugiego, chciał go lać pałą, prawda, tamten się prawdopodobnie uchylił i ta pała mnie uderzyła w głowę i zwinąłem się, prawda, o to to tak. Prawdopodobnie potem się zreflektowali, mnie tam gdzieś pewno zanieśli. No więc tak to...

- Bardzo przepraszam, mam tu pytanie, które ma później bardzo duże znaczenie przy późniejszych pana perypetiach - kwestia języka i z tego wynika, że pan będąc w szkole niemieckiej musiał go opanować w sposób...

Tak, no więc oczywiście.

- To był jak swój język rodzinny.

Oczywiście.

- Czy nie miał pan śladów w wymowie tych naleciałości słowiańskich?

No, no to.

- Jak pan to ocenia?

To proszę pana mogło przyjść później, ale te potoczne takie rozmówki...

- Czy nie był pan rozpoznawany językowo?

Potoczne rozmówki - proszę pana - jednak były typowo niemieckie, bo to wśród niemieckich dzieci się uczyłem. Także to był język taki dosyć, prawda, skromny, nieliteracki, więc dlatego był to język potoczny i mogłem uchodzić oczywiście za Niemca.

- To później chyba miało znaczenie?

Miało na pewno znaczenie, miało na pewno znaczenie. No, więc z Westfalii wróciliśmy do kraju na podstawie opcji. Ro-

dzice optowali na rzecz Polski i zrzekli się obywatelstwa niemieckiego. W związku z tym ktoś, kto był Niemcem tutaj w Wielkopolsce optował na rzecz Rzeszy Niemieckiej i na jego miejsce myśmy tutaj, prawda, przyjechali.

To był taki jak dzisiaj pamiętam kolejarz Bülow i na miejsce tego Bülowa już na gotowe jego mieszkanie, on na nasze mieszkanie.

- Może pan coś bliżej o tym powie, bo ja nie słyszałem.

No, więc to była sprawa właśnie po wojnie. Polacy w Niemczech mieli prawo /ponieważ Polska jak to się mówi "wybuchła"/² wrócić do swojej ojczyzny. I było porozumienie między Niemcami a Polską, która się wtedy rodziła, że Polacy w Niemczech mają prawo pozostać jako obywatele niemieccy, prawda, albo też optować, czyli wybierać obywatelstwo polskie. No myśmy wybrali obywatelstwo polskie i wróciliśmy.

To oczywiście droga szła przez Zbąszyń, pamiętam jak dzisiaj - prawda - w Zbąszyniu nas tam zatrzymano, bo to jeszcze się toczyły walki tam między grenzschutzem niemieckim a powstańcami wielkopolskimi, to był rok dziewiętnasty, wiosna. Tam, stamtąd później Czerwony Krzyż nas zabrał. To był transport dosyć duży już na stronę polską, a stamtąd do Poznania. Zacząłem uczęszczać do szkoły podstawowej tutaj w Polsce, w Środzie pod Poznaniem, albowiem tam ojciec ulokował się jako kolejarz.

No i cóż, rodzice postanowili, że razem z bratem, było nas w rodzinie dwóch braci, trzech właściwie braci, dwie siostry, że dwóch braci trzeba wykształcić. No więc, oczywiście złożyliśmy egzamin później do gimnazjum - Państwowe Gimnazjum Humanistyczne w Środzie, no i jakoś te osiem lat_x, żeśmy przeszli. Matura w 1931 roku. Bezpośrednio_x po maturze, ²jak, i brat ochot-

niczo zgłosiliśmy się do wojska. Brat na zawodowego oficera piechoty, później lotnika, a ja do odbycia jednorocznej służby wojskowej. - Dostałem skierowanie do Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. Wcale nie prosiłem o to. ^uuznano, że moja konstytucja, moja sylwetka pasuje na ułana - no!

Tak i tamże w Grudziądzu bardzo sobie chwale, bo to była szkoła na wysokim poziomie, jeśli chodzi o wojskowość, o za-
hartowanie, ^{o takie} ~~o takie~~ wychowanie obywatelskie, patriotyczne, sportowe oczywiście. Także szkołę nawet skończyłem z dobrą lokatą w randze plutonowego-podchorążego. Otrzymałem przydział do siedemnastego pułku ułanów w Lesznie. Tam dokończyłem tę służbę i po zwolnieniu i odbyciu służby wojskowej zapisałem się na uniwersytet - Uniwersytet Poznański - Wydział Prawno-Ekonomiczny. Studia przeszły mi gładko oczywiście, po czterech latach magisterium. W międzyczasie ^{tem} ~~odbywałem~~ ćwiczenia wojskowe, awansowałem na rachmistrza-podchorążego ^{prawda}, no i wreszcie w trzydziestym szóstym otrzymałem stopień podporucznika rezerwy po drugich ^{ćwiczeniach} rezerwy.

Po studiach postanowiłem, oczywiście, od razu złapać pracę, nie było środków, ^{prawda}, były ciężkie czasy wówczas, a więc zgłosiłem się do administracji ogólnej państwowej jako prawnik. Zostałem przyjęty na aplikację, czyli praktykę referendarską do Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego. Po rocznej praktyce aplikacji złożyłem egzamin referendarski i skierowano mnie już jako referendarza, ^w w ósmej grupie uposażeniowej, to jest jakiegś 280 złotych, plus tam dodatek ^{do} do Kalisza. W Kaliszu pracowałem jako kierownik działu prawno-administracyjnego w tymże starostwie do trzydziestego dziewiątego roku, czyli do chwili wybuchu II wojny światowej.

Miałem przydział mobilizacyjny jako kawalerzysta na stano-

wisko dowódcy plutonu zwiadu konnego 58-go pułku piechoty 14-stej dywizji poznańskiej. Miałem miejsce mobilizacyjne wyznaczone w Kutnie. A więc, z chwilą wybuchu powstania, przemaszerujemy wojny, 1-go września wyruszyłem wprost z Kalisza, prawda, do Kutna. Dotarłem tam, prawda, zameldowałem się u dowódcy tego ośrodka pułkownika Kokoszki, no i zacząłem przygotowywać swój pluton. Trzeba było przeprowadzić tak zwany remont, czyli ten pobór koni, umundurować ludzi, to wszystko było wtedy w stadium organizacji. Trwało to wszystkiego siedem dni. Zdążyłem ten pluton zmobilizować, przygotować, prawda, i otrzymaliśmy rozkaz przemarszu z Kutna na nowe $\bar{M}\bar{P}$. Ponieważ działania wojenne potoczyły się szybko, rozkaz brzmiał, że mamy nowe $\bar{M}\bar{P}$ w rejonie Wisły, Otwocka.

No więc maszerujemy, całą kolumną, po drodze oczywiście już czołówki niemieckie nas tam zaczynają atakować. Dopadły nas w Milanówku pod Warszawą, no i tam ta czołówka została dobrze poturbowana. No, mnie się udało z tym plutonem, prawda, konnym i łącznie z plutonem żandarmerii 14-stej dywizji 7-go DOK Poznań oderwać się od tej czołówki niemieckiej, która nas tam zaatakowała i przez Włochy dotarliśmy do Warszawy. Warszawa już płonęła, przez barykadę pod wiaduktem na Wolskiej weszliśmy do Warszawy i tu decyzja: czy zostać w Warszawie, czy dalej maszerować.

No, ponieważ mieliśmy ten punkt zborny Otwock, więc oczywiście maszerujemy na ten Otwock. Tutaj niestety po dotarciu do Otwocka okazało się, że zagony pancerne z Prus Wschodnich nacierają już na kierunek ten, więc trzeba było stopniowo się ewakuować.

Tak dzień po dniu, prawda, z miejsca na miejsce poprzez Mińsk Mazowiecki, Łuków, Włodawę dotarliśmy do Kowla.

Tam zastała nas wiadomość 17-go września o wkroczeniu bolszewików - Czerwonej Armii. Oczywiście zrobił się szalony popłoch i w Kowlu zaczęły się organizować zgrupowania. Tak jak było zgrupowanie Kleeberga na Polesiu, tak tutaj zorganizowało się zgrupowanie Kowel - Samodzielna Grupa Operacyjna. Znaleźli się tam dowódcy tacy jak pułkownik dyplomowany Tadeusz Zieleniewski, pułkownik Koc i pułkownik kawalerii Płonka, którzy zorganizowali to zgrupowanie z zadaniem przebiccia się na południe w kierunku granicy węgiersko-rumuńskiej. Ja wszedłem w skład batalionu, którym dowodził znajomy mój - pułkownik Górnisiewicz z poznańskiego Dowództwa Okręgu Korpusu numer 7. Byliśmy w zgrupowaniu, w podgrupie pułkownika Koca. Maszerowaliśmy na osi Kowel-Luboml-Chełm - /lubelskie, prawda/. Stamtąd na południe na San, taka była marszruta. Cały czas wystawialiśmy straż tylną, placówki z karabinami maszynowymi, osłaniając je ewentualnie przed nacierającą od wschodu Czerwoną Armią. Mieliśmy oznaki tego, że posuwają się na zachód, prawda, w kierunku Bugu i jeszcze dalej.

Uniknęliśmy starcia z Czerwoną Armią. W międzyczasie jeszcze oddziały niemieckie, które się wycofywały na linię Wisły zgodnie z układem, jak się później dowiedziałem, Ribbentrop-Mołotow, miały na linii demarkacyjnej przejść zachodni brzeg Wisły. No, więc już ^z/dwudziestego siódmego na ósmego, pamiętam, września doszło do starcia naszego zgrupowania z dosyć dużą jednostką niemiecką. Była to straż tylna 7-go korpusu z dywizjonem przeciwpancernym 27-mej dywizji piechoty, jak się później dowiedzieliśmy. Ta jednostka buszowała w rejonie Janów Lubelski, Zamość, prawda, wycofując się na Wisłę. No my, nasz kierunek marszruty również szedł w lasy Puszczy Solskiej, Puszczy Sandomierskiej i trzeba było się przebijać.

Nastąpiła bitwa, formalna bitwa pod miejscowością Dzwola to jest w pobliżu pomiędzy Janowem Lubelskim a Biłgorajem. Tam bezpośrednio natarcie przeprowadziła podgrupa pułkownika Płonki, a myśmy byli na prawym skrzydle, także bliżej Janowa Lubelskiego. Kiedy pułkownik Płonka ten dywizjon przeciwpancerny rozbił, rozproszył, prawda, wówczas rozproszone te wojska niemieckie usiłowały przedrzeć się przez nasze podgrupowanie, które znajdowało się w pobliżu Janowa Lubelskiego. No i tutaj oczywiście zaczęliśmy walkę. Ja miałem ręczny karabin maszynowy w swoim plutonie, otrzymałem rozkaz, żeby zająć stanowisko, prawda. Była drużyna w batalionie z karabinami przeciwpancernymi bardzo dobrymi. No i kiedy także szosą z kierunku Dzwoli na Janów przedzierają się te jednostki niemieckie samochodami pancernymi następuje ostre starcie. Pierwszy samochód został trafiony, prawda - w płomieniach, piechota niemiecka w tyralierę, prawda, a my karabinami maszynowymi i RKM-ami sieczemy po nich. Niemcy zostali zlikwidowani, część się wycofała na zachód w stronę Wisły, a to co poległo, prawda, to już zostało. Po tej potyczce ⁶⁰ to była potyczka, prawda, mieliśmy drogę otwartą i zmierzamy dalej ku Wiśle. Zbliżyła się już 1, 2 października (to już są ostatnie dni kampanii wrześniowej. Kiedy usiłujemy dotrzeć do Sanu, do Puszczy Solskiej, ażeby dalej, prawda, na południe maszerować zgodnie z założeniami, zostaliśmy okrążeni przez sowieckie jednostki. Ilu ich tam było - dywizja, brygada, w każdym razie to był już wieczór i pod wieczór zaczęły poszoscie krążyć ich jednostki. Samochody pancerne, czołgi, prawda. Próbowaliśmy się przebić. Karabiny maszynowe to chyba było z osiem takich stanowisk, mieliśmy działko przeciwpancerne, prawda, i rozpoczęła się formalna bitwa. Trwało to całą noc z 1 na 2 października do świtu. Padło troszkę ludzi, obok mnie

zginął major Żelazny (zastępca dowódcy batalionu, jakiś kapral sanitarny, prawda, także strat mieliśmy nieco. O świcie goniec od dowódcy - pułkownika Zieleniewskiego (po linii daje rozkaz zaprzestania ognia i maszerować na skraj lasu przez szosę, którą nam zamknięto. Rzeczywiście maszerujemy, pułkownik Zieleniewski już jest na skraju lasu po drugiej stronie szosy, wojsk sowieckich nie ma, cofnęli się i dowódca odczytuje nam rozkaz. Jesteśmy jednym z ostatnich oddziałów, które walczyły, prawda, uległy przemocy Czerwonej Armii i w związku z tym kapitulacja. Warunki kapitulacji następujące: dowódca generał (wymienił nawet nazwisko jego, nie pamiętam) nakazuje złożenie broni na wozy taborowe i maszerować na wschód, w głąb tych lasów do miejscowości Flisy. Tam żołnierze będą natychmiast zwolnieni do domów, a oficerowie po wylegitymowaniu. Kończy się rozkaz, dowódca oczywiście szykuje tam kolumnę, prawda, towarzystwo zbiera się i decydują maszerować na punkt zborny. Ale nam młodym podporucznikom, a było nas sześciu takich tutaj z Kalisza, z Łodzi podporuczników rezerwy, to jakoś nie pasowało. Pytamy się pułkownika Górnisiewicza co to znaczy, że oficerów ma się legitymować i dopiero po wylegitymowaniu zwalniać. A dowódca Górnisiewicz stary legionista powiada "To znaczy, że wyślą nas na białe niedźwiedzie" - no to co robimy? To pryskamy - no wobec tego zdecydowaliśmy nie pójść do niewoli, a urwać się. Możliwości były, prawda, dlatego że znaleźliśmy się, że tak powiem, w strefie takiej między już wycofaną armią niemiecką a nacierającą od wschodu armią sowiecką, która na nas czekała. Więc zamiast na wschód postanowiliśmy lasami uderzyć w stronę Wisły na zachód. Wzięliśmy parę dobrych koni, prawda, lekki wóz taki z RKM-em, troszkę tych granatów, w razie spotkania jakiś tam jeszcze maruderów oddziałów niemieckich, a żeby

str A
↑
Kaseta I
↓
str B
 się przebijać. No i tak sześciu nas było młodych podporuczników i pułkownik Górnisiewicz. Dotarliśmy gdzieś nad ranem następnego dnia do wioski Dąbie. Pamiętam jak dziś i tam miejscowi ludzie zaopiekowali się nami, byliśmy bardzo zmęczeni, zdrożeni. Ulokowali nas gdzieś po stodołach, prawda, i tam cały dzień żeśmy pospali. Pod wieczór przyszedli młodzi chłopcy do nas no i powiadają, że Niemców już nie ma, że są po drugiej stronie Wisły. A my prosimy ich, żeby nam umożliwili przeprawę na drugą stronę, bo chcieliśmy dostać się do swoich domów. No, ale trzeba się przemundurować, a więc ubrania cywilne, broń zakopaliśmy, oddaliśmy tym ludziom dwa piękne konie, wóz, mundury na przechowanie z dokumentami, z książeczkami wojskowymi no i jako uchodźcy cywilni przeprowieni zostaliśmy w nocy przez miejscowych ludzi jakimś tam czołnem na drugą stronę do miejscowości Dwikozy. I po tamtej stronie, prawda, już Niemcy. Jest most, prawda, w Dwikozach, stoi wacha niemiecka, ale my przechodzimy jako uchodźcy cywilni. Nawet żeśmy się zgłosili tam w wójtostwie, w gminie, żeby jakiś dokument otrzymać, prawda. No więc tam żeśmy się zorientowali, że uchodźcy wszyscy pociągami wracają z powrotem w kierunku Częstochowy. No więc wsiedliśmy w pociąg ten towarowy i dotarliśmy do Częstochowy. W Częstochowie oczywiście już wielkie jubie niemieckie, flagi ze swastyką, prawda, krzyki, szumy, szczekaczki, to było. Już pierwszy ten szmatkawiec, jakaś gazeta polska. Stamtąd do Łodzi. W Łodzi zatrzymałem się u jednego z kolegów, który mnie tam jakieś parę dni przetrzymał. Przyzwolicie się ubrałem no i dotarłem do Kalisza, do swojego miejsca pobytu.

- Panie Stefanie chciałbym pana spytać o losy tych kolegów, którzy poszli się lojalnie, zgodnie z porozumieniem rozejmowym, prawda, czy kapitulacyjnym zameldować do naszych czerwonych są-

siadów - co się z nimi stało?

Jeśli chodzi o dowódcę pułkownika dyplomowanego Tadeusza Zieleniewskiego, to wiem, że udało mu się w jakiś sposób urwać i nie dotarł do niewoli sowieckiej, lecz przebił się do armii generała Sikorskiego. I wiadomym mi jest, że generał Sikorski powierzył pułkownikowi Zieleniewskiemu dowództwo formującej się jednej z dywizji piechoty we Francji.

Jeśli chodzi o pozostałych kolegów, więc tam wiem, że było tak - dwóch ^{poruczników} ~~poruczników~~ piechoty służby zasadniczej, jeden nazywał się nawet Ochab, a drugi Piżyc, czyli byli narodowości żydowskiej, ^PPrzypuszczam, że oni poszli do niewoli, ale jako Żydzi na pewno potrafili się tam uchronić. Natomiast pozostali oficerowie, a było ich bardzo dużo (byli to przeważnie rezerwiści) losów ich nie znam. Jeżeli poszli do tej niewoli sowieckiej to przypuszczam, że trafili tam, gdzie wszyscy, prawda, no więc trudno mi powiedzieć. Na liście, która się później ukazała

- Katyńskiej?

Katyńskiej tak, spotkałem dużo znajomych nazwisk z wojska, z pułku siedemnastego - Władysław Żółtowski na przykład, który ze mną służył w siedemnastym ułanów, Ludwiczak, Kościelniak prawda. To wszystko byli oficerowie rezerwy, ci figurują na tej liście. Także co do losów tych, prawda, z tego zgrupowania Zieleniewskiego nie mogę powiedzieć. Zresztą nie znałem bliżej tych ludzi, bo to zetknęła nas

- przypadkowa zbieranina

przypadkowa zbieranina (to były różne, prawda, rozbite jednostki, które w zgrupowaniu dopiero się zaczęły cementować. Także tych sześciu tylko młodych podporuczników, którzy ze mną urwali się - tych znałem, bo to byli ludzie, koledzy z Kalisza i z Łodzi.

- Doszedł pan do Kalisza...

Tak.

- Przyjechał pan do Kalisza.

W Kaliszu mieszkałem przy ulicy Łódzkiej 1. Wynajmowałem mieszkanie u pani doktor Szrejderowej, no i tam się zgłosiłem. Okazuje się, że pani doktor Szrejderowa już opuściła to mieszkanie i zamieszkali tam młodzi Bujniccy, dzieci uwięzionego prezydenta miasta. Ja się nimi zaopiekowałem jakiś czas. Prosiłi mnie nawet, żebym wyrobił im widzenie z ojcem i matką przebywającymi w więzieniu. A więzienie przy ulicy Łódzkiej znajdowało się vis a vis tego domu Łódzka 1. No więc, musiałem się dowiedzieć jak to załatwić. Podobno trzeba było z policji /nie wiedziałem wówczas, że to jest gestapo, prawda, które tam się lokowało przy alei Piłsudskiego, dawna aleja Józefiny/ wziąć przepustkę i ewentualnie zgodę na widzenie. Poszedłem tam oczywiście operując niemieckim. Łatwo mi się było dogadać tam z tymi gestapowcami i wziąłem ich na takie powiedzmy sobie jeszcze jakieś uczucia litości, że jest dwoje dzieci, chcą zobaczyć rodziców, prawda, ich ojciec jest tam przetrzymywany. Dali mi tę przepustkę. Ja chłopca i dziewczynkę tam zaprowadziłem, no i byłem świadkiem rzeczywiście jak zmaltratowany ten prezydent inżynier Bujnicki z żoną już, prawda, trzęsącą się, drżącą, przychodzą do tej wartowni, te dzieci płaczą, prawda. Okazuje się, że to było ostatnie ich spotkanie. Matka wyszła, później jak się dowiedziałem i z dziećmi udała się do Generalnej Guberni do Piaseczna i tam zamieszkała, natomiast prezydent Bujnicki w więzieniu w Rawiczu został rozstrzelany. To była zemsta za jego postawę jako Polaka. Będąc prezydentem miasta, w którym znajdowało się dość dużo mniejszości niemieckich wyrażał zawsze postawę dobrego Polaka, przeciwniecką.

Taki fragmencik jeszcze, prawda, w Kaliszu. No, ale widzę,

że sytuacja jest dosyć groźna, bo Niemcy miejscowi mszczą się na Polakach. Co pewien czas, prawda, rozstrzelują kogoś na placu Józefa to jest tam, gdzie się mieści kościół świętego Józefa i dawny gmach guberni starostwa. Sam byłem świadkiem jak rozstrzeliwali osiemdziesięcioletniego proboszcza ze wsi Chocza. Miejscowy Niemiec jakiś młynarz podrzucił mu tam gdzieś jakieś panie naboże i spowodował rewizję. Znaleźli u niego to i, oczywiście pod zarzutem, że posiada broń, rozstrzelali biedaka. Oczywiście od razu czerwone afisze, groźnie prawda, że taki taki przez Sondergericht został verurteilt zum Tode. W tej sytuacji otrzymałem ze starostwa wezwanie, żeby się zgłosił do pracy. Okazuje się, że w starostwie byli niektórzy urzędnicy, którzy przeszli od razu na volksdeutschów. To byli jacyś tam powiedzmy sobie Niemcy, czy jeden Ukrainiec, jeden Niemiec i oni udostępniłi prawdopodobnie personalia pracowników, urzędników, no między innymi mnie. Ponieważ u mnie prawdopodobnie doczytali się, że ja jestem Stammdeutsche, bo urodzony w Niemczech.

- Stamm co oznacza po niemiecku?

To znaczy pochodzenia niemieckiego. Poproszono mnie, No więc oczywiście niczego nie podejrzewając, a raczej przypuszczałem, że chcieliby ewentualnie wykorzystać mnie jako tutaj urzędnika, zgłosiłem się do gabinetu wicestarosty. Był taki Niemiec wicestarosta, no już człowiek starszy, łagodnego widać usposobienia i postury, rozmawiam z nim, On mi tu przedstawia, że właśnie mają pewne trudności, że chcieliby tutaj zmontować załogę, że wybierają właśnie takich zaufanych, widzą, że ja jestem Stammdeutsche, czy ja chętnie bym się na to zgodził. No oczywiście nie zdążyłem się wypowiedzieć, a tu wchodzi do tego gabinetu sam starosta Herr Landrat von Graff się nazywał.

Wchodzi, Wicestarosta mówi mu, a że tu jest właśnie ten poproszony Beamte prawda, że chcemy go zatrudnić. No ten, powiada, „No, ja, ja, Sie sind aber Deutsche, ja, ja, sehr schön - ja - mówię? nein, nein, ich bin Pole.“ Jak ten Niemiec się zaperzał, czerwony się zrobił, zaczął wrzeszczeć prawda, że na pewno ojciec był Spartakusem, komunista w Niemczech, to tak i „raus, raus,“ no więc oczywiście ja niedużo namyślając się biorę kapelusz i ewakuuję się.

- Panie Stefanie, ale ma pan czysto słowiańskie nazwisko.

Tak, więc to u nich nie grało roli, także tych przecież mieliśmy Niemców o pięknych nazwiskach: Prądyński, Malinowski - różnie. No tutaj, jeśli chodzi o takich jak ja, no to przecież byli tacy i są jeszcze ci niemieccy odszczepieńcy ślascy też o polskich nazwiskach. Także to u Niemców nie grało roli. Więc uważali tylko, że Stamndeutsche, prawda, wychowany w Niemczech i to owo. W każdym razie udało mi się tam urwać i zorientowałem się, że tutaj, prawda, nie ma co siedzieć. Trzeba będzie się gdzieś przerzucić w inne rejony. I dowiedziałem się od takiego komendanta straży pożarnej pana Małyski, z którym się tam często widywałem, nawet na maszynie pisałem różne takie tam powiedzmy sobie niemieckie podania dla ludności, żeby zwalniać tam ludzi z niewoli, tak dalej. Trzeba było trochę pieniążków zarobić z tego tytułu. No i tam mi mówi, że słuchał radia i w radio jest apel generała Sikorskiego z Paryża, że formuje się armia polska, że wzywa się ochotników do wojska.

- Niech pan to umiejscowi czasowo, który to miesiąc?

To był koniec października, początek listopada 1939 roku.

- Jeszcze trzydziesty dziewiąty?

Tak, tak to był początek i zacząłem zastanawiać się jakby tutaj, prawda, przedostać się. Wzięliśmy mapę, atlas Romera,

prawda, i patrzemy, gdzie ten Paryż się znajduje. No, okazuje się, że trzeba byłoby sforsować kilka granic, przejść masę kilometrów, żeby się tam przedostać. Miałem kolegę ze studiów w Kaliszu Brunona Kurnatowskiego, który był przewodniczącym, prezesem OWP - Obóz Wielkiej Polski Stronnictwa Narodowego. On jako endek, ja jako powiedzmy sobie urzędnik państwowy, nie przeszkadzało nam żeśmy utrzymywali bardzo dobre stosunki towarzyskie. Brunon oświadczył mi, że również myśli o tym, żeby się przedostać do wojska. Jeszcze zgłosił się franciszkanin miejscowego zakonu franciszkanów ksiądz Adam, ojciec Adam Narloch taki Kaszub, motocyklista, taki samochodowiec, nowoczesny taki franciszkanin i też chciałby na kapelana do wojska. I tak we trzech postanowiliśmy wyruszyć. I tak decyzja zapadła. Ponieważ Brunon Kurnatowski był związany organizacyjnie z Warszawą, w Warszawie miał przyjaciół ze Stronnictwa Narodowego Wymieniał mi redaktora Włodka z tego endeckiego oenerowskiego czasopisma "ABC", że tam u nich na pewno otrzymamy jakieś dobre informacje o możliwości przedostania się poza granice. Bo słuchy już dochodziły do Brunona, że Stronnictwo Narodowe w Warszawie już jakieś szlaki tam przeciera.

Udaliśmy się do Warszawy, dotarliśmy tam, prawda, dosyć szczęśliwie i zatrzymaliśmy się rzeczywiście u tego pana Włodka. Okazuje się, że to bardzo porządna rodzina patriotyczna. Pani Włodkowa się nami zaraz zaopiekowała. Znalazł się już taki młody człowiek Zieliński pamiętam, który też próbował przechodzić przez okupację sowiecką na stronę węgierską. Ale cofnął się, coś mu się tam nie powiodło, prawda, i dał nam pewne wskazówki. Powiada, że przez okupację sowiecką jest łatwiej sforsować granicę węgierską na Ruś Zakarpacką, bo sowieci mają bałagan, natomiast Niemcy już są zorganizowani i wykupują, tak-

że raczej przez okupację sowiecką. Tylko trzeba się trochę po proletariacku ubrać i udawać, prawda, albo takich jak oni to nazywają bieżęćców, uciekinierów, którzy tam się znaleźli na wschodzie i szukają rodzin, albo ewentualnie roboty się szuka. No więc, pierwsze kontakty otrzymaliśmy. Przebraliśmy się oczywiście. Pani Włodkowa poszła ze mną na Kercelak, prawda, kupiliśmy takie dobre buty robocze, żeby można maszerować. Ubrałem się także w ^(tak) sportową jakąś tam wiatrówkę, sweter, cyklistówkę. Kolega jeden i drugi też jakieś takie płaszcze robocze. I pierwszy kontakt nam dano w Ostrowi Mazowieckiej - Małkini, to była linia demarkacyjna, pierwsza między GG a okupacją sowiecką. Tam oczywiście miejscowy członek ^(wi) Stronnictwa Narodowego nas podprowadził pod granicę i granicę przeszliśmy do Czyżewa. W Czyżewie na pociąg i do Białegostoku. Z Białegostoku kierunku na Sarny, Kowel. Dotarliśmy do Kowla, z Kowla do Lwowa.

- Bez żadnych dokumentów?

Także dokumentów żadnych nie mamy. Koledzy mają no, oni mają swoje dokumenty i ja jestem w takiej sytuacji, że ja nie mam żadnego dokumentu.

- Żadnych kontroli nie było?

Bałagan był, żadnych kontroli, to wszystko tam się przewalało, kotłowało. W tych pociągach to było tak, że na dachach się jeździło, wchodziło się tam, prawda, przez okna, w ustępach, także tutaj nie było żadnej możliwości skontrolowania. I tak udało nam się dotrzeć do Lwowa. Po drodze spotkaliśmy takich jak i my. Był taki nauczyciel z Tucholi, który również do nas się przyłączył. I ja mu mówię, może ma jakiś zapasowy dokument, coś takiego, że jest nauczycielem z Tucholi. A pan, wie pan co, ja mam taki bez fotografii dokument wojskowy, że jestem kategoria "C", zwolniony ze służby wojskowej, Edmund Porazik się nazywam.

Chce pan, rocznik ten sam też jedenasty.

Zgoda, wziąłem i mam już taki papierek. Uważam, że to mi wystarczy. No i we Lwowie franciszkanin, ksiądz Narloch od razu kieruje nas do swoich braci zakonnych na Łyczaków, tam do franciszkanów. Tam żeśmy dotarli, już mróz, bo to jest mroźna zima, to jest już koniec listopada. Ale jakoś udało nam się tam przed nocą dotrzeć do tego klasztoru. Tam nas przyjęto oczywiście i zgodzono się, że nas tam przez parę dni przetrzymają. Zaczęliśmy się rozglądać za możliwością przejścia na Węgry albo na Rumunię. No więc, spotkaliśmy różnych ludzi. To się ludzie wtedy spotykali u Dudka w kawiarni, albo u "Georga", gdzieś w Pasażu Simona - pamiętam jak dzisiaj. Lwowa nie znałem, ale przez te dwa tygodnie to tam się troszeczkę poznałem. I tak różnie mówili. Najlepiej to jednak twierdzili, żeby udać się w rejon, gdzieś tam pod granicą rumuńską, w rejon Kołomyi. I stamtąd później jakiś wypad zrobić na Rumunię. No więc oczywiście postanowiliśmy tak, ażeby wykorzystać tę informację i pojechaliśmy. Pojechaliśmy do Stanisławowa. Przez Stanisławów do Kołomyi. W Kołomyi wysiadka, ale tam już pełno tych prawda z czerwonymi opaskami i tych milicjantów ukraińskich, Hucułów, żydowskich się kręci i już tam zaczynają ten...

No, ale jakoś nas nie czepiają i idziemy prosto do klasztoru jezuitów. Mamy od przeora franciszkanów, ze Lwowa list polecający do przeora ojca Kozłowskiego, przeora klasztoru jezuitów przy ulicy Kraszewskiego w Kołomyi.

Pech, że klasztor sąsiadował z gmachem sądu przedwojennego, a w gmachu sądu, o czym nie wiedziałem, zainstalowało się NKWD. No to były początki tego bałaganu, jeszcze nie było tak surowo, prawda, i to jakoś nam uchodziło. Ulokowaliśmy się tam w tym klasztorze, z tym że ksiądz Adam został w klasztorze u przeora,

a nas przeor ulokował u swojego kościelnego czy ^{też} ~~pięc~~ rodziców ministrantów na przedmieściu Kołomyi. Takich porządnych Polaków Dylatów, jak się nazywali. I tam zakwaterowaliśmy. I teraz tak ksiądz Kozłowski powiada - bardzo dobrze, że wy tu jesteście, bo zbliża się 8 grudzień, święto Matki Boskiej, i spodziewamy się (na pewno jesteśmy głęboko wierzący), że wreszcie Opatrzność tutaj jakiś cud ^{...} (~~i to prawda~~ mistyfikacja zaczęła się, że tutaj ma przyjechać generał Januszajtis, że generał Januszajtis w rejonie lwowskim, stanisławowskim ~~tutaj~~ ~~prawda~~, organizuje wielkie jakies powstanie i prawdopodobnie panowie będziecie jako oficerowie potrzebni. Oczywiście ja spoglądam na tego poczciwego przeora jezuitów z pewnym takim, powiedzmy sobie, politowaniem, bo ^{my} to przecież bardzo naiwne jego rozumowanie. Ale swoją drogą staramy się o kontakty.

Jest listonosz, sąsiad Dylatów, i pytamy się tegoż listonosza pana Karpińskiego, czy on się orientuje jak można przejść najlepiej. No, On powiada najłatwiej jest ~~tutaj~~ do Kosowa. Pojedziecie autobusem do Jasienic, a z Jasienic już macie podnóże gór, i w góry, i na drugą stronę. ~~No~~ Uwierzyliśmy mu, że to takie łatwe, ~~prawda~~ i udaliśmy się. Okazuje się, skoro żeśmy przeszli przez ten Jasieniec, wspinamy się na górki, a żeby ewentualnie tam, ~~prawda~~ gdzieś przez Czeremosz tak mniej więcej z mapy, żeśmy się zorientowali jaka jest tam sytuacja terenowa. Trzeba było przejść przez Czeremosz Czarny, Biały, ~~prawda~~, gdzieś koło Żabiego i tam już po drugiej stronie była Rumunia. I wyszliśmy na taki łagodny szczyt, ~~prawda~~, idziemy tym szczytem. Przed nami wyłania się wioska huculska i w lesie rąbią drwa Huculi. Więc stanęliśmy - co dalej robić? Ja radzę, żebyśmy ominęli tę wioskę, bo to lepiej się nie stykać z Hucułami. Trzebaby tu pójść ~~prawda~~ od razu ~~tutaj~~ w ten jar, tę dolinę

i tam szczytem dalej. Jak zobaczyli ośnieżone Żabie ~~ten szczyt,~~
~~prawda,~~ ci moi towarzysze, szczególnie ksiądz Adam Narloch po-
 wiada, nie, on nie da rady. Idźmy tutaj dolina tej wsi i ~~pój-~~
~~dziemy tam~~ dalej. No i schodzimy do tej wioski, a tutaj z za ro-
 gu chałupy wyskakuje już takich Hucułów dwóch ~~prawa~~ z siekie-
 rami i "ruki wierch", "ruki wierch". Pierwsze spotykam, ~~prawda,~~
 słowiańskie nasze ^[tworze] ruskie ruski język - "ruki wierch". Tu ^{ty} tam
 po ukraińsku zaczynają gadać - co wy? oficery Polaki, gdzie
 wy na Rumunię chodzicie, e to, to wy pany i tak dalej. No więc
 podchodzimy do nich i on tę siekierę już schował i posłał
 chłopca po milicjantów. Przyszli milicjanci tacy znowu dwaj
 obdartusy, panie, z czerwoną opaską z karabinami i zabrali nas
 do Kosowa do NKWD. Okazuje się, że tam w tym Kosowie takich
 jak my już było kilku i między innymi dwóch marynarzy, żeśmy
 spotkali i w tej ciemnicy tam rozmawiamy.

- Skąd marynarze?

Marynarze z Gdyni tak jak my też chcę...

- Bo była też flota pińska [fińska?]

Tak, ale to nie to. Ale to nie ~~była to nie~~ byli ludzie z
 floty fińskiej. To byli młodzi marynarze, którzy chcieli
 przejść na drugą stronę, żeby zamustrować do jakiejś marynarki
 handlowej. To byli z handlowej floty. I powiadają, że tutaj
 też chcieli przejść, ale oni chcieli przejść normalnie szosą
~~tutaj prawda~~ ta zaleszczycką, ale nie udało im się, i zatrzyma-
 li. I powiadają, że tutaj jest taki ten przesłuchuje, trzeba
 tam opowiadać, że się tutaj szuka rodziny, że my jesteśmy ewa-
 kuowani z Pomorza, z Poznańskiego, jako byli tam pracownicy,
 urzędnicy i tak dalej. Więc ja mam tę legitymację tego nauczy-
 ciela, więc na tym będę bazował oczywiście sobie powtarzam. I
 Rzeczywiście nas tam wzywają i taki kapitan NKWD w mundurze,

koniec [kassch]
 str 8
 ↓
 początek [kassch]
 str A

a obok tłumacz [→] (miejscowy Żyd, inteligent jakiś, Żydek tłumaczy. I on nam tam zaczyna, ~~prawda~~ mówić "panowie tylko nie bójcie się, wszystko będzie dobrze". No i oczywiście tamten nas przesłuchuje po kolei. Najpierw ~~tam tego~~ jednego kolegę, drugiego, potem ja jako ostatni przychodzę. No i tam pisze, ~~prawda~~, w protokóle "kak wasza familia" takie tam wszystkie duperеле. Ja opowiadam całą tę legendę ^{która} ~~to~~ mniej więcej się zgadza, z tym co ci koledzy mówili. I jak ten wreszcie skończył to powiada, że natychmiast opuścić strefę graniczną. Czterdzieści kilometrów nie wolno, bo jeżeli drugi raz tutaj się znajdziemy to będziemy aresztowani. I jestem wolny, żebym się już więcej nie pokazywał. Pierwsze zetknięcie bardzo łagodne i idziemy z tymi kolegami na rynek.

- Mówiąc szczerze, nie słyszałem żeby wypuszczali zbyt łatwo.

To był ^{jeszcze} ten (okres ~~klasnie tego jeszcze~~ chaosu. I koledzy już są na rynku, autobus czeka, szczęśliwie dopadam do nich, autobus rusza i z tego Kosowa wracamy do Kołomyi. Wracamy wieczorem, w nocy. Co tutaj teraz robić, godzina policyjna, wiadomo, łożą te patrole, nie można już się nigdzie tam, panie, dalej pchać, tylko na samym przedmieściu wysiadamy i do pierwszej bramy stukamy. Otwiera nam jakiś tam dozorca. Trafiliśmy na Polaka i ~~taki~~ dozorca nas tam gdzieś ulokował u siebie i żeśmy do rana przeczekali. ~~Na~~, Następnego dnia wracamy każdy na swoją kwaterę. Jesteśmy na swojej kwaterze ~~na~~ i zaczynam teraz kombinować, żeby tych marynarzy spotkać, bo się z nimi tak umówiliśmy, że ^[jest] będę ewentualnie w Kołomyi, to ~~oni~~ w hotelu będą mieszkać, i tam się z nimi spotkam. I proszę sobie wyobrazić, jestem w klasztorze u tego księdza Narlocha i mówię, że idę na obiad do restauracji do hotelu i tam prawdopodobnie spotkam

tych dwóch i ewentualnie naradzimy się, co dalej robić. I rzeczywiście zjadłem obiad, jeszcze spotkałem tam takiego lekarza weterynarii z podchorążówki Topor-Matuszewski, tamtejszego ~~tego~~ autochtona. I pytam go się "panie jak tutaj się dostać na drugą stronę". A on powiada wie pan tam jest mapa przy Kraszewskiego na ^{przeciwko} sądu, niech tam sobie pan przeczyta.

Ja mówię...

[sic]

Była to mapa w gablotce PTTK rejonu Karpat Wschodnich. Udałem się do hotelu, spotkałem marynarzy. Zaproсили mnie do swojego pokoju i tam rozkładają swoje mapy; ~~oni mieli też mapy~~ i mieli przy tym swoje przyrządy morskie. Próbuja ~~tam, prawdę,~~ jakby najlepiej ~~tutaj~~ gdzieś się przedostać. Oni celowali zamustrować do jakiejś floty handlowej jako marynarze. W pewnym momencie (rozmawiamy, ~~rozmawiamy,~~ jakie tu są stosunki i o tym, że tu są kłopoty, że trzeba uważać, że już zaczynają tutaj prześladować i tak dalej, i tak dalej) Nagle drzwi się otwierają i w drzwiach staje taki kamandir NKWD z naganem i "ruki wierch, ruki wierch". A przy nim taki mały chłopaczek Polak, okazuje się, w mundurze przerobionym lotniczym, zwolniony prawdopodobnie z wojska i już pomaga NKWD. To był syn woźnego sądowego tego, który tam się zaangażował widocznie w służbie NKWD. No, konsternacja oczywiście, nakrywają tutaj trzech konspiratorów, mapy rozłożone tych marynarzy i mnie ~~ten~~ - "dokumenty proszę" - więc ja pokazuję swój ten Edmund Porazik zwolniony z wojska polskiego, ~~prawdę,~~ a oni są marynarze, mają swoje marynarskie jakieś książeczki no i dawaj, idziemy. Prowadzą nas do NKWD, tam właśnie na Kraszewskiego do tego gmachu sądowego. Idziemy gęsiego i przechodząc takim wąskim korytarzem do tych marynarzy powiadam, że my się nie znamy w ogóle, ja tylko zapoznałem was tutaj na obiedzie w hotelu ~~to~~ i chciałem od was

pożyczyć coś do czytania, jakąś książkę i to wszystko, nic poza tym. Dobra, tak na wszelki wypadek się umawiamy. No zaprowadzili nas do tego NKWD i tam ten starszyna taki wysoki drab mnie od razu do swojego gabinetu, pokoju i zaczyna mnie tam ostro przypierać. „Nu, ty się przyznaj - powiada - ty jesteś oficer, ty tu w monastyr w tym klasztorze konspirujesz, wy tutaj tego”, widocznie obserwowali, jak żeśmy tam chodzili. A ja jeszcze byłem ubrany, w taką skórzana kurtkę, wyglądałem rzeczywiście na oficera. Ja mówię: „nic podobnego, ja jestem uchodźcą, bieżącym, ja tutaj ~~prawda~~ szukam rodziny. Nasze rodziny były ewakuowane w rejonie tutaj gdzieś Kołomyi. Ja ich poszukuję. Jak znajdę rodzinę, to wracam z powrotem na Pomorze, na zachód do Tucholi, bo tam mieszkam, jestem z Tucholi”. „No, nie nie przyznajcie się, a wyznajcie czto to jest NKWD?” Ja, mówię: „NKWD {pierwszy raz słyszę}”, „no a GPU - wy słyszeli”. „GPU to, to już słyszałem, to był taki Dzierżyński, wiem, że to był rewolucjonista, GPU tak.”

„No tak, a wiecie kak u nas bjut” i pokazuje mi tam jakieś szpicruty, nagany tego.

Ja, mówię: „przecież ja nie jestem tutaj wcale waszym wrogiem, ja jestem tu zwykły ludowy nauczyciel” i tak w tym tonie próbuję, prawda, że nie jestem jakimś tam kontrrewolucjonistą, burżujem i tak dalej.

„Nu, nu da uwidim, uwidim, uwidim.”

Gdzieś wyszedł, zamknął mnie. Po pewnym czasie wychodzi, prowadzi mnie na górę, jest już godzina popołudniowa, godzina jakaś szósta, ciemno, bo to jest grudzień. Wchodzę do gabinetu naczelnika NKWD. Staje taki malutki, bledziutki człowieczek, no i do mnie mówi: „nu, dawaj ~~mu~~”, ten sobie poszedł i zostałem z nim sam. I zaczyna się rozmowa; normalnie co, gdzie, jak tego

tam. Ja mu tam opowiadam te wszystkie swoje historie, jaki to ja jestem biedny, nieszczęśliwy. Jesteśmy tu, rodzina taka rozbita, tego, szukamy się nawzajem. Spotkałem tutaj takich podobnych jak ja i szukamy, no mamy trudności i jest źle nam, nie mamy pieniędzy, nie ma z czego żyć, prawda - i co to będzie, liczymy, że wy nam pomożecie i w tym sensie. Okazuje się, że to był taki major NKWD - robotnik z Donbasu (taki stu procentowy ~~lak~~ i on prawdopodobnie chciał podejść w sposób taki nawracania ideologicznego.

- Nu, tak wy, wy uczył?

- Da, ja uczył.

No, a jak nauczyciel to już jest coś, prawda, przyzwoitego, to nie jest żaden tam wyzyskiwacz, burżuj i tak dalej. No tak powiada, ale wy jednak jesteście przeciwko nam.

- Dlaczego?

A co gawarili pretiw krasnej armii?

My pretiw krasnej armii w hotelu, podumajecie? No, więc ja tak tą łamaną, prawda, ruszczyzną mu tam odpowiadam.

- Nic złego żeśmy nie mówili na pewno.

- No, podumajcie, podumajcie, bo my wiemy.

A to sobie pomyślałem, że oni mnie tam podsłuchiwali ~~ei ten~~, ~~ten~~ starszyna NKWD z tym Wesołowskim - szpiclem. No, to mówię coś trzeba powiedzieć, no więc powiadam, że ~~ech~~ rozmawialiśmy o wojsku, bo to dwóch marynarzy i jeden z nich służył w legii cudzoziemskiej francuskiej i opowiadał, że ~~ten~~ zna czołgi Renault francuskie i porównywał je z waszymi czołgami. Powiada, że czołgi radzieckie to się nie umywają do francuskich, bo tu jak widział defiladę to co pewien czas gąsienice spadają, to tam się psuły to takie, graty powiada.

- Nu, a francuskie?

jest zgodnie z
nagraniami,
nie wbrew
logice

- To tylko to~~x~~ żeście mówili?

- To, myśmy nic innego nie mówili.

No więc przekonało go to, no i co dalej, prawda. On tak tam znowu zaczyna pisać, pisać coś udaje tego, ~~]~~ No a co wy gawarili pretiw sojuznej dierzawje?

Nie bardzo rozumiałem o co mu chodzi, ale się domyślałem, że prawdopodobnie przeciwko rządowi sowieckiemu.

- Nic takiego.

- No podumajcie, na pewno, żeście tam coś gadali.

No widzę, że ~~wiedzą~~ ~~ta~~ trzeba będzie puścić farbę, opowiadam, że owszem może, żeśmy trochę krytycznie się wypowiedali o was, ale jesteście rozgoryczeni, bo my tu Polacy jesteście źle traktowani, tu w Kołomyi są sami Żydzi, Ukraińcy i oni tutaj nas nienawidzą, oni nas szykanują, nigdzie pracy nam nie chcą dać, ~~prawda~~, a my tutaj, ~~prawda~~, jesteście bez grosza i nie mamy z czego żyć i tak dalej, i tak dalej.

On powiada: „nu tak nie jest, powiada, bo my jesteście władzą, która wam tutaj chce wprowadzić sprawiedliwość. My chcemy wam pomóc”, ~~prawda~~. No i w tym tonie, jest taka gadka. Gadanie, gadanie. Ja podejmuję jego ten ton on potem mnie zaczyna ideologicznie opowiadać jak to u nich jest, ~~prawda i ta~~. Ja mówię, ~~Ja~~ ^{ze} troszkę znam wasz ustrój, bo ja studiowałem socjologię jako nauczyciel, ja znam i wasz ustrój, konstytucję Stalina. Wiem, że u was jest demokracja jest socjalizm taki, który ~~prawda~~ niesie ludziom sprawiedliwość. Więc w ten sposób go zupełnie otumanilem. Zwykły robociarz z tego Donbasu. On powiada potem: „dobrze, charaszo, powiada. Ja widzę, że wy jesteście charoszyj człowiek, wy budietie rabotat. Ja mówię, ale jak ja jestem przecież nauczycielem to jak ja tu będę pracował jak tu sami Ukraińcy nigdzie mnie nie zatrudnią

Wy budietie rabotat w gimnazji - powiada. W gimnazji - prze-

cież ja jestem nauczycielem ludowym, podstawowej szkoły. Ja nie ma kwalifikacji.

- Wy znajecie wsio - powiada.

- Socjologię znajecie, wszystko możecie. Wy budżecie w ósmej klasie tam jest taki przedmiot filozofia, propedeutyka takie to o to. Wiem, że tam jest w ósmej klasie logika, filozofia to będziecie.

- Tak, no może dam radę powiadam, dobrze zgadzam się, bardzo się cieszę.

Ale on powiada - tylko wy budżecie mnie raporty składać. Co tydzień tutaj do mnie do biura, w soboty będziecie pisać, prawda, czy tam nasz program jest wykonywany, jak nauczyciele, czy oni są lojalni, ~~prawda~~ i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście, nieprzyjemna sprawa, ale żeby się ratować, bo widzę, że nie wyjdę tutaj z tego, że na pewno gdzieś wyląduję, mówię - zgoda, no musimy sobie pomagać, prawda.

- No, to wy mnie podpisu dajcie, podpisu.

Napisał on tam, że ja się zobowiązuję Edmund Porazik, taki i taki, robotat tam i tam, i to po rosyjsku tam napisał. I że będzie mnie tu meldował, informował i tego. Edmund Porazik - podpisałem się.

- Nu, da powiada.

- Czyli ja mam przyjemność z enkawudzistą rozmawiać w tej chwili.

Tak jest i taka była rozmowa moja. Człowiek był wtedy młody, pełen fantazji, no i chwycił się tego wszystkiego, żeby jakoś się ratować. Wtedy ten odetchnął, ten sam naczelnik, bo on też widocznie, on musiał się przełamywać, żeby mnie ~~tutaj, prawdę~~, odpowiednio na przerabiać na tego szpicla. No więc, powiada - "no ty tiepier, tiepier idź pogulat, pogulat."

Ja mówię, co to znaczy pogulat?

- A no pospacerować, idźcie pospacerować.

Spacerować - tu już ciemna noc, gdzie ja będę spacerował. Mówię, muszę mieć jakąś przepustkę, bo mnie tam zatrzymają wasi milicjanci. No, napisał tylko, że Edmund Porazik był u mnie tutaj urzędowo. Dotarłem do swojej kwatery na przedmieście Kołomyi. Tam czekają zdenerwowani - co się dzieje?

- A co z marynarzami?

Nie wiem, nic nie wiem, co tam z marynarzami, ~~prawda~~ mnie wypuścili i w nocy wróciłem do swojej kwatery. I tam mówię Brunonowi, bo z Brunonem jestem razem, że jest taka i taka sytuacja, musimy teraz gwałtownie już się urwać, bo ja nie mogę się tutaj już ^{coś} bo nabrałem tamtego, ~~prawda i tak~~ Zresztą on jeszcze mi powiedział ~~ten~~ na odchodne, enkawudysta że na-
zajutrz następnego dnia mam się zgłosić o godzinie dwunastej tutaj do niego. U niego będzie dyrektor gimnazjum tego kołomyjskiego i on mnie tam zaangażuje. Ja mówię - muszę się jutro tam zgłosić i co ja będę robił?

~~Ja mówię~~ ^{to} się zgłoś i udawaj w dalszym ciągu, a my musimy tutaj coś znaleźć.

Ten nasz listonosz, sąsiad ~~tego~~ naszego gospodarza powiada - ja panom dam kontakt, bo mam kolegę w Horodence, to jest tuż przygraniczna z Rumunią, miejscowość i on tam prawdopodobnie zna kontakty. Tylko poczekajcie cierpliwie - Dobra, czekamy. Wobec tego następnego dnia zdecydowałem pójść do tego NKWD zameldować się u komandira, u naczelnika. ^a Wchodzę na to piętro do niego, ~~on~~ wychodzi z gabinetu taki zaaferowany, ^z ja idę ku niemu. On do mnie powiada:

- ~~Da~~, da siewodnia niet, że dzisiaj nie, bo dzisiaj dyrektor gimnazji jest na odprawie w Stanisławowie w kuratorium.

Wobec tego proszę jutro (zawtra), jutro (zawtra). No, więc jutro w takim razie, a tiepier pogulat, pogulat.

No i poszedłem do domu. I tam już decydujemy. Księża Narloch~~a~~ przez młodego ministranta ściągamy do przystanku autobus^u~~owego~~, który ma nas zawieść do Horodenki. I wsiadamy w ten autobus, jedziemy do Horodenki. W Horodence już mamy kontakt na pana Bartkowskiego, to był listonosz tamtejszy. I wysiadamy z autobusu, pełno się już kręci tych milicjantów, już zaczynają, tego, węszyć. Akurat idzie w czapce urzędowej listonosza - listonosze przed wojną nosili takie czapki; ~~mieli~~ rogatywka ~~taki~~ z otokiem takim listonoszowym - i podchodzę do niego, i mówię:

- Proszę pana, czy nie zna pan listonosza Bartkowskiego?

- To ja jestem.

- Panie kochany, ja jestem od pańskiego kolegi tu z Kołomyi od takiego i takiego, on mnie poleca, żebym do pana tutaj się udał. Pan podobno mógłby nam pomóc.

A on tak podejrzliwie patrzy. Tylko on powiada - osobno, osobno proszę za mną pan, a koledzy za panem i do mojego domu.

Gdzieś tam zaprowadził nas do swojego domu i tam powiada: ~~Ja~~ mam kontakt z organizacją, która działa już i przerzuca. To jest podoficer jakiś zawodowy, kapral czy plutonowy i organista kościoła grekokatolickiego. Ja panów tam skontaktuję. I rzeczywiście posiedzieliśmy troszkę, posiedzieliśmy u niego i powiada:

- Ale panowie musicie białe prześcieradła się postarać i troszkę tam potem dla przewodnika, żeby było.

~~to więc~~ Każdy ~~tam~~ miał jakiś tam zegarek, jakieś obrączki. ~~te. Debra~~ Białe prześcieradła ~~no więc tamte pani,~~ jego żona ~~nam tam~~ uszykowała, wzięliśmy te prześcieradła i gdzieś tam

wieczorkiem na takim zapłociu maszerujemy z tym organista. Najpierw jeszcze trzeba było się skontaktować, więc ten listonosz nas do tego kościoła ormiańskiego zaprowadził. I z kościoła tego grekokatolickiego - kończy się jakaś msza - i wychodzi z chóru taki niski, wąs sumiasty, z sumiastymi wąsikami, taki typowy polonus. I~~x~~ powiada: „proszę panów, proszę za mną” i idziemy, maszerujemy, maszerujemy na przedmieście ^(przez) takie tam jakieś opłotki. ~~I tam~~ ^A stamtąd prowadzi nas do ~~do~~ takiego przy cmentarzu gospodarstwa. I w tym gospodarstwie duża stodoła. W tej stodole ~~prawa~~ gromadzi się partia. I partia dzisiaj rusza w nocy o dwunastej. A to był 24 grudzień - wigilia, czy 23 coś takiego, nie, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie tak wycelowali, że to był taki okres, że czujność tych pograniczników była uśpiona, bo pili wódkę ~~prawa~~ i tak dalej. No i rzeczywiście w nocy o dwunastej rusza partia, masę tych oficerów tam było, chyba ze trzydziestu. Lotnicy różni tam, czołgiści, jakieś kobiety i inni. Wszyscy w białych prześcieradkach, bo to teren pokryty śniegiem ~~prawa~~ i trzeba maszerować tak gołym polem. Idzie ta cała partia ~~prawa~~ gęsiego, prowadzi nas ~~ten~~ kapral nadterminowy miejscowy ~~ten~~. No i po jakichś dwóch, trzech godzinach marszu dotarliśmy gdzieś nad ranem do samego słupa granicznego. Z jednej strony Orzeł Polski - Rzeczpospolita Polska a z drugiej ^[właśc. Rumunia] Rumenia. Jest taki jar i ten przewodnik powiada: „no panie - teraz państwo tylko przez ten jar przeskoczycie tam jest miejscowość Stefanefiti - Stefanówka i tam jest Rumunia”. No i rzeczywiście wskoczyliśmy na drugą stronę, no i tam do tej Stefanówki. No tam oczywiście od razu już czekali na nas strażnicy rumuńscy, bo prawdopodobnie te partie już tam dostarczały tych kandydatów. Ci strażnicy nas tam ulokowali, tam na tych swoich siennikach - odpocznijcie sobie pa-

pisałam?

nowie, ~~tego~~ a sami...

- Czyli życzliwie

Bardzo grzecznie, bardzo grzecznie, a my was dostarczymy do Czerniowiec, ~~to Czerniowiec~~. No, rzeczywiście bilety nam jakieś pokupowali ~~prawda~~; prawdopodobnie już działała ta organizacja. I do Czerniowiec. W Czerniowcach zaprowadzili nas do Domu Polskiego, ~~to był Dom Polski, prawda~~, przy konsulacie i tam pani konsulowa, pani Bujnowska, się nami zaopiekowała. No, ale ^{powiada} pani Bujnowska - będziecie wszyscy sądzeni za nielegalne przekroczenie granicy. Czyli taką szopkę odstawili, ~~prawda~~, że po pewnym czasie nas tam wszystkich do tego sądu wezwali. Myśmy w sądzie tam zeznawali, że jesteśmy uchodźcy, że jesteśmy inteligenci, nie jesteśmy tam robotnikami tylko tacy^{...c}. No i oczywiście sędzia każdego ~~prawda~~ wyrokiem liberato, liberato, liberato uwalniał od winy i kary, no i w ten sposób ~~prawda~~ byliśmy już uchodźcami cywilnymi.

- Czyli nie wpakowano was do obozu internowanych?

Na razie nie. Ale, ale skierowali nas do miejscowości Buzau. To nie był obóz internowanych, to była miejscowość przeznaczona dla uchodźców polskich. Zakwaterowano nas w różnych domach rumuńskich i w tych ~~domach~~ ~~prawda~~, żeśmy czekali na ewentualnie dalsze losy. Okazuje się, że z Bukaresztu przyjechali emisariusze wojskowi nasi i tam była taka duża świetlica, gdzie się to towarzystwo wszystko schodziło i tam trzeba było się zameldować, zarejestrować i zaczęła się sprawa już angażowania do wojska polskiego. To był już gdzieś styczeń, strasznie silne mrozy. No i ubraliśmy się w takie kurtki, dali nam takie ciepłe ubrania, jakoś nas tam przyodziali ~~prawda~~ i przez emisariuszy wojskowych poszczególni ludzie z tego Buzau się urywali. Otrzymywali odpowiednie ~~tam powiedzmy sobie~~ prze-

pustki, dokumenty, bilety do Bukaresztu. W Bukareszcie znowu działa nasze przedstawicielstwo wojskowe, tam dają nam paszporty i wybierają trasę. Jedna trasa wiedzie przez Belgrad, Split, Adriatyk, Morze Śródziemne, Francja. Druga trasa przez Włochy, Mediolan, potem do Francji, to jest kolejowa trasa. I trzecia trasa to była trasa do Grecji do Pireus, ~~prawa~~ na Bliski Wschód. Mnie wypadła trasa środkowa - mianowicie Belgrad, Split, Adriatyk, Morze Śródziemne, Marsylia. I rzeczywiście w miesiącu chyba lutym ruszył ten cały transport statkiem greckim ~~takiem~~ "Patris" (pięćdziesiąt pięć tysięcy ton, stara taka krypa.

- To dużo.

Dużo, bo tam setki tych naszych kandydatów, ochotników wojskowych. Przecież to wszystko było organizowane, także statek ten wtedy, o ile ~~się~~ pamiętam, no paręset było tych naszych ochotników, ~~prawa~~. Wystartowaliśmy ze Splitu Adriatykiem na Morze Śródziemne ~~na~~ i po kilku dniach i dobach, przy dosyć poważnym sztormie (bo to była wtedy burzliwa tu cała strefa mrozy, Afryka ciepła i tak dalej) dotarliśmy do Marsylii. W Marsylii już nas przyjmują znajomi ludzie - rotmistrz Kieracz, późniejszy dowódca ułanów poznańskich u Andersa. ~~Faci~~ Znałem go z podchorążówki zawodowej w Grudziądzu, To był taki prymus ówczesny, zresztą poznaniak, syn dowódcy straży ogniowej poznańskiej - rotmistrz Kieracz. No, już po francusku powiada dépechez, dépechez, allez, allez, a la ~~Carpeine~~ ^{Carpiagne}, już po francusku zaczyna. Wojsko ma już mundury, francuskie furażerki. I zawieźli nas do takiego obozu wojskowego ~~Carpe de Carpeine~~ ^{Carpiagne} - to było w rejonie Cassis.

- A nie Coëtquidan?

Nie, nie na razie tam do ~~Carpe de Carpeine~~ ^{Carpiagne}, to był Cassis,

por. wyżej trasa
pięćdziesiąt

stra
Kaseta
str B

to było w rejonie tego Złotego Wybrzeża, tam nad Morzem Śródziemnym. Z ~~Carpe de Carpeiną~~ ^{Carpiagne} dopiero nas zaczęli tasować. Żołnierzy i podoficerów do Coëtquidan, a oficerów do Paryża do weryfikacji. Trafiłem do grupy oficerów, jako podporucznik rezerwy i w koszarach Bessiers w Paryżu na Montmartre zaczęli nas weryfikować. Parę tygodni pobyliśmy w Paryżu, zweryfikowaliśmy, otrzymaliśmy przydziały.

- To znaczy dwójka was badała, krótko mówiąc.

Nie, to była taka komisja wojskowa, żadna dwójka, nie, nie. Tam major Miller był dowódcą tego. A major Miller był kiedyś dowódcą Szkoły Podchorążych Rezerwy Kawalerii - tak żeśmy trafili od razu na swojego dowódcę. Jak tylko doszło do spotkania major Miller powiada - kawalerzyści będą zgrupowani w ośrodku kadrowym, ponieważ oficerów jest dużo, wojska mało, będziemy tworzyć kadrowe jednostki na razie. No i oczywiście dostałem przydział najpierw do Wandei do Luçon, później stamtąd przenieśli nas do ~~Val~~ ^{Andree} do Bretanii. I już w Bretanii pobyliśmy w takim ośrodku szkoleniowym Grupowania Kadrowego oficerów Kawalerii. Nastawili nas na broń przeciwpancerną i w tym kierunku tam cały czas nas szkolono. Na czterdziestu milimetrówkach francuskich ppancach.

- Dobra broń była?

Dobra, ale nasze beanforsy 37 były lepsze. No, maj się zbliżać, rusza się front i nas zaczynają już przetransportowywać do St. Malô. St. Malô to był taki ośrodek szkolenia broni przeciwpancernej. I w tym St. Malô już jako kompania regularna, uzbrojona w działka czterdziestomilimetrowe zaczynamy się formować do ewentualnego udziału w walkach.

- Ale jako wydzielona jednostka polska?

Przy francuskiej.

- Ale pododdział polski?

Pododdział polski tak, tak. To była taka kadrowa brygada oficerska. I byliśmy przy jednostce przeciwpancernej francuskiej, tam sąsiadowała z nami Legia Cudzoziemska, to wojsko marokańskie różne - mieszanina. I rusza front, proszę was, zbliża się, działania się zbliżają.

- Po najpierw była to dziwna wojna

No, dziwna wojna, to trwało na linii Maginota. Tam nasza dywizja pierwsza i druga, tam się angażowała. No, myśmy nie weszli do akcji, ewakuowali nas z tego Grand ^{ville} ~~Ville~~ ~~St~~ w rejonie ujścia Loary, coraz bardziej na wschód, coraz bardziej na wschód. Wreszcie nastąpiła kapitulacja. Przyszedł rozkaz z Londynu generała Sikorskiego, że ewakuować wszystkie jednostki polskie możliwie z portów tutaj w rejonie Loara, Bordeaux do Anglii. Nastąpiła ewakuacja, myśmy przedostali się. Ja dostałem w Anglii przydział, oczywiście.

- Jak się panu udało dostać do tej Anglii?

No, więc to było tak - byliśmy w Nantes, St. Nazaire ~~St~~

- Tam był straszliwy bałagan, o ile wiem.

Tam był bałagan, tak. I nasza ta kompania, do której ja należałem miała pociągiem jechać z Nantes dalej w kierunku na Bordeaux. Tymczasem myśmy z grupką kolegów poszli do portu w St. Nazaire, żeby zobaczyć, czy tam będą możliwości ~~jeżdżenia~~ złapania jakiegoś środka lokomocji na drugą stronę. I rzeczywiście, był z nami taki Janusz Kazimierski dziennikarz, też podporucznik rezerwy, znał świetnie francuski no i zagadał tam do jakiegoś Francuza, który robił wrażenie, że jest kierownicą konsula brytyjskiego - czy ewentualnie jest możliwość przedostania? On powiada - konsul tutaj ostatnim statkiem jaki tu jest ładuje się i odpływa. No, zapytaliśmy się czy konsul

nas zabierze. No i rzeczywiście ten kierowca załatwił to, no i nie ma przeszkód, siadajcie. Była nas gromada, tych oficerów i przedostaliśmy się. Przedostaliśmy się na ten statek, no i oczywiście statkiem normalnie, już konwój się sformował, tym konwojem dotarliśmy do Plymouth. Okazało się, że był to statek bardzo pojemny, do którego doładowano również i polskich lotników /znalazła się grupa kilkudziesięciu lotników/ i nasza grupa w ten sposób po jakiś dwóch dobach, drogą okrężną, przez Zatokę Biskajską, żeby uniknąć ewentualnie spotkania z łodziami podwodnymi, trzeba było konwojem tam ruszyć. Zresztą byliśmy eskortowani przez kontrtorpedowce, także czuliśmy się bardzo pewnie. W Plymouth przyjęli nas Anglicy, oczywiście to już było zorganizowane wszystko, od razu tamte organizacje społeczne w mundurach różne [złoty niewymiar] Armię Zbawienia, już się zaopiekowali, nakarmili nas no i stamtąd przetrzasnęto nas do Liverpoolu, a z Liverpoolu do Szkocji. Był taki pierwszy obóz oficerski w Crawford w południowej Szkocji. Tam pod namiotami żeśmy biwakowali dłuższy czas. Dowódcą tego zgrupowania /obozu/ był generał /nazwisko jego mi wypadło/ w każdym razie szef DOK Kraków. Pewnego dnia zawiadamiają nas, że panowie oficerowie, a było tam nas co najmniej około tysiąca, proszę uporządkować rejon - wizyta naczelnego wodza. Generał Sikorski ~~przejechał~~ zjechał z generałem Paszkiewiczem i towarzystwo całe zebrało się na tej łące olbrzymiej i tam Sikorski zaczyna nam wyjaśniać sytuację. Okazuje się, że Sikorski był wtedy bardzo zdenerwowany, bo świeżo był pod wrażeniem zamachu jaki tam na niego szykowali. Dąb-Biernacki generał, jeszcze jacyś inni, którzy chcieli wykorzystać sytuację, że Sikorskiemu połowę armii zostało we Francji, że ewakuacja należycie była przeprowadzana i tak dalej, że był ten bałagan.

V [log. 02.12.1945: NIE]

No i Sikorski wtedy powiada, że bardzo to przeżył i jednak zdecydowanie przeciwstawił się wszelkim zakusom rokoszu i buntu i ci panowie już są izolowani, także agituje tutaj i prosi panów oficerów, żeby panowie oficerowie zachowali umiar i zrozumienie całej sytuacji. No, więc tam zaczął sprawy nam przedstawiać - jak się sprawa przedstawia, że się tutaj tworzy rząd, że jest w kontakcie z premierem brytyjskim Churchillem, że formujemy wojsko, w dalszym ciągu tworzą się jednostki, że nadwyżki oficerów będą wykorzystane jako brygady kadrowe, że wszyscy będą brali udział. Tylko apeluję o to, żeby była lojalność i zrozumienie tej sytuacji. Generał Paszkiewicz przy tym asystował i raz po raz zwracał się Sikorski do Paszkiewicza i powiada, że to jest jeden z pierwszych dowódców. Będzie dowódcą pierwszej dywizji piechoty, która formuje się już w Szkocji. Odjechał Sikorski, ja z kolegą Kazimierskim /tym dziennikarzem, o którym mówiłem/* Szczęśliwie spotkaliśmy znajomego majora Koszuckiego pancerniaka i ten major zaproponował nam przydział do brygady - dziesiątej brygady kawalerii pancerno-motorowej w Szkocji. Dał nam tam skierowanie i tam nas przyjęto z przydziałem na dowódców plutonu. Trafiłem do dziesiątego pułku strzelców konnych, jednostka ewakuowała się dosyć szczęśliwie. Część oczywiście brygady z Maczkim i sztabem została we Francji po stoczeniu bitew pod Montmartre, a gros brygady było pod dowództwem ówczesznie najpierw pułkownika dyplomowanego Dworaka, a później dowództwo objął generał Rudolf Paszkiewicz. Oczywiście brygada od razu otrzymała przydział na pogotowie i obronę przeciwinwazyjną. No, oczywiście Anglicy spodziewali się...

- Określony wycinek wybrzeża?

Nam oddano wycinek od Edynburga, Dundee tamten rejon, Aber-

deen, wybrzeże szkockie wschodnie w kierunku na Norwegię. Oczywiście Anglicy spodziewali się inwazji i ze strony Kanału La Manche i ze strony Morza Północnego z Norwegii. Więc myśmy tam trzymali, że tak powiem, straż przeciwinwazyjną. ~~Bo~~ Bo-legało to na tym, że byliśmy zmotoryzowani, mieliśmy szybkie samochody, mieliśmy traki tak zwane, na gąsienicach uzbrojone w brengany, czyli karabiny czeskie *gebrany*. No i budowa- liśmy tam te różne zapory, ~~prawa~~ na plażach, to owo. To trwa- ło chyba po zakończeniu ^{powietrznej} bitwy o Anglię, ~~powietrznej~~. Jak to się skończyło, wówczas już to całe pogotowie przeciwinwazyjne prze- stało być aktualne, chociaż mieliśmy pewne symptomy tego, że jednak Niemcy próbowali tam podpływać. Flota ich tam przepędza- ła, ~~prawa~~ no i ta cała impreza przeciwinwazyjna spaliła na panewce. ~~No~~ Oczywiście walnie do tego przyczyniło się zwy- cięstwo lotników nad *Luftwaffe* niemiecką.

- Panie Stefanie, jak pan ocenia z perspektywy czasu możli- wości Niemców dokonania skutecznej inwazji na wybrzeże, czyli na przykład wasz odcinek byłby w stanie utrzymać obronę przez dłuższy czas?

No więc na pewno nie, na pewno nie. Gdyby tylko Niemcom udało się, powiedzmy sobie, zlikwidować flotę powietrzną bry- tyjską, no i przeforsować ewentualnie jeszcze flotę brytyjską morską /bo przecież brytyjska flota była silna/ i gdyby do- tarli na wyspę, no to wtedy obrona była iluzoryczna, ~~ta~~ Myś- my byli, ~~ta~~ tą brygadą, która miała dosyć duży odcinek. A ~~nie~~ ^{czyli} ~~nie~~ ^{czyli} żeśmy dysponowali: to były trzy pułki, to był dziesiąty pułk strzelców konnych, to był dwudziesty czwarty ułanów i czter- nasto pułk jazłowiecki.

- A reszta to była chyba dziadkowie z dubeltówkami.

No to był Home Guard. Z tym że Home Guard ~~prawa~~ ćwiczył też

tak z dubeltów^(cepkami) i tak dalej. ~~tu~~ Tu muszę powiedzieć, że Anglicy mieli świetnie zorganizowaną właśnie tę obronę przeciwlotniczą, operowali wtedy już radiolokacją i radarem. To było dla nich bardzo dużo. Bo w ten sposób potrafili zlokalizować wszystkie ataki bombowców niemieckich. Mieli dużą sieć obserwatorów, takich właśnie dziadków, którzy na posterunkach na wybrzeżach obserwowali przez lornetki, przekazywali telefonicznie to dalej, ~~prawa~~. Stacje radarowe odpowiednio przyjmowały na ekran no 1, jak wiadomo, były te odpowiednie dyspozycje dla myśliwców i w ten sposób potrafili zlikwidować to niebezpieczeństwo. No, myśmy to wszystko przeżywali. Muszę powiedzieć, że w tym czasie brat mój, który był oficerem lotnictwa, był oficerem zawodowym w ~~pułku~~^{piątym} pułku lotniczym w Lidzie, znalazł się też na terenie Wielkiej Brytanii ~~co~~ prawda nie był w załogach myśliwskich, lecz w załogach lekkich bombowców, latał na ~~Brentenmach(?)~~^{Brentenmach(?)}. Otrzymałem już po bitwie o Anglię w czterdziestym pierwszym roku smutną depezę, że brat zginął. No więc oczywiście samolot został, gdzieś tam z wyprawy wracał z południa z rozpoznania jakiegoś i nad wybrzeżem został zestrzelony czy już nie doleciał, w każdym razie zginęła załoga. ~~Byłem~~ Byłem na pogrzebie brata, także trochę przeżywałem też tę całą tragedię lotniczą. Jeśli chodzi o dalsze losy po tej zwycięskiej bitwie o Anglię, brygada zaczęła się gwałtownie przeformowywać już na jednostkę pancerną. Oficerowie zostali przeszkoleni na kursach broni pancernej w takiej miejscowości Kirriemur, gdzieś tam w Szkocji. Szkolono nas na kursie na czołgach typu takiego Mark 1, Mark 2, Churchill, Coventry, także byłem już przygotowany, na to, że będę brał udział jako czołgista - dowódca plutonu czołgów w dziesiątym pułku strzelców konnych. Tymczasem, kiedy koń-

czyłem ten kurs otrzymałem rozkaz z dowództwa, że jestem wytypowany do służb specjalnych. Oczywiście zafrapowało mnie to wtedy, zaintrygowało.

- A to tak od razu mówiono, że do służb specjalnych?

No, no.

- To chyba jakoś nie etapem^{ami} w to wciągano.

To wtedy już się mówiło o cichociemnych, wtedy już to było. Już wtedy padały pierwsze słowa, że to jest tajemnicze i tak dalej, prawda, gdzieś będą jacyś cichociemni. Ponieważ rzecz polegała na tym, że na kursie wywiadu przebywał mój przyjaciel dziennikarz Janusz, no ten, o którym wspominałem, i on mnie tam zarekomendował, ~~no~~ więc rzecz polegała na tym, że dobierali odpowiednio ludzi. A więc poszukiwali oblatanych takich, dziennikarzy i powiedzmy sobie znających język niemiecki, specjalistów, lotników. No więc ja oczywiście wyraziłem zgodę na to, bo taki tryb, powiedzmy sobie, szkolenia, koszarów to już troszeczkę mnie się przejadł. Człowiek był żądny, żeby trochę działać. Kurs odbywał się pod kryptonimem "oficerski kurs doskonalenia administracji wojskowej" - to był kryptonim. A to była szkoła wywiadu wojskowego, którą prowadził pułkownik Mayer przedwojenny szef "dwójki". Pierwszy kurs odbył się w Londynie, drugi, na który ja zostałem wytypowany, odbył się w Glasgow w Szkocji. ~~No, oczywiście~~ Kurs ten trwał osiem miesięcy, w trakcie kursu zapoznano nas ^{ze} wszystkimi tajnikami tej służby, ~~no ale ponieważ~~ tam Szkolono jednocześnie i tych, którzy będą przeznaczeni do służby w kraju [?] w ruchu oporu i tych, którzy będą przeznaczeni na placówki zagraniczne - na wywiad przy jednostkach naszych dyplomatycznych. Tutaj trzeba było wybrać ochotników. No i wtedy pułkownik Mayer poszczególnych słuchaczy wzywał do siebie i proponował. ~~No~~, Mnie ta propozy-

cja od razu odpowiadała. Nie odpowiadała mi oczywiście propozycja zajęcia gdzieś tam jakiegoś stołka urzędniczego przy ambasadzie, czy przy konsulacie jakimś zagranicznym. Wolałem od razu pójść do akcji. Zgodziłem się, ~~zgodziłem się no więc~~ wtedy ~~prawda~~ było nas trzydziestu, których wytypowano z tego kursu, między innymi właśnie Stefan Bałuk, który później jako ten specjalista od mikrofotografii działał w Komendzie Głównej Armii Krajowej. Trzeba było przejść oczywiście przeszkolenie i zaprawę spadochronową. To wszystko odbyło się przy Brygadzie Spadochronowej generała Sosabowskiego w Leven w Szkocji w "Małpin Gaju". Była to sucha zaprawa, wiadomo ćwiczenia z różnych tych przyrządów, trapezów, zaprawa gimnastyczna, skoki z wieży spadochronowej, no i następnie skoki bojowe z lotniska Ringway pod Manchesterem. Tam trzeba było odbyć tych przepisowych dwanaście skoków, w tym dwa skoki nocne, jeden w nocy, a drugi w dzień w ciemnych okularach. Skakaliśmy z samolotów, wtedy jeszcze *whitbey* były takie ciężkie. Najpierw pierwszy skok to w ogóle był skok z balonu. Wciągnięto na wysokość tysiąca metrów balon zaporowy, taki z koszem i w tym koszu czterech skoczków ze spadochronami przyczepionymi karabinkami do gondoli, no i ~~tam oczywiście~~ z tego balonu trzeba było skakać. Skok był o tyle dziwny, że nie było tego zrywu, tak jak przy samolocie, tylko spadało się w przepaść. Cisza głucha, bo to na tysiąc metrów wysoko, jest bardzo cichutko, no i tak trzeba było paręset metrów dobrze lecieć, nim się ten spadochron otworzył, i wylądować.

- Przepraszam, no przecież był zaczepiony.

Był zaczepiony, tak

- Było chyba natychmiastowe otwarcie?

No to linka była długa, długa, długa linka była przy tym ba-

lonie, także to trwało dosyć długo. Bo to przy samolocie to od razu, samolot pędem wyrwa mały spadochronik, ten wyrwa duży

- A tam?

A tutaj jak się ten karabinek powie^{dzmy} ~~szary~~ oderwał linka długa też wyciągnęła mały spadochronik to ten dopiero /przez pewien czas jeszcze się leciało, leciało/ wyciągnął duży spadochron. Także nie było tego pędu.

- Były wypadki?

Były wypadki, były wypadki, tak, tak.

- Słyszałem, że major Hartman tam wam w kość dawał?

No Hartman to raczej.

- W Małpim Gaju?

On nie, Hartman to był dowódca Audley End to był taki ośrodek szkoleniowy cichociemnych w Audley End , a w Małpim Gaju to Sosabowski. No więc tak, później te skoki z samolotu, no i kiedy już dojrzało się do tego trzeba było przejść ten właśnie kurs odprawowy, który odbywał się w Audley End gdzieś tam pod Canterbury, Cambridge. Dowódcą tego Audley End był major Hartman, przedwojenny adiutant prezydenta Mościckiego, bardzo elegancki pan, miły człowiek zresztą. No a oprócz niego był również i dowódca pułkownik angielski - Szkot w krótkiej spódniczce takiej, dżentelmen, bardzo miły człowiek. No, tam żeśmy się uczyli różnych rzeczy. ~~No, więc oczywiście~~ (tam) Byli i ludzie przeznaczeni do wywiadu i do dywersji, do partyzantki, do dowodzenia, do lotniczej służby, ale wszyscy musieli przejść wyszkolenie strzeleckie z tych coltów, następnie to powiedzmy sobie bytowanie w terenie, konspiracja - o, takie rzeczy. Tam się bawiło w różne takie przebieranki, podchodziło się pod jakiś obiekt wojskowy angielski, zdobywało się, minowało się -

o takie historie. No a najważniejsze to było opracowanie legendy. Trzeba było sobie opracować legendę, jeżeli się zleci i za dwadzieścia cztery godziny ma się być w okupowanym kraju to trzeba mieć i odpowiednie dokumenty, i odpowiednią legendę - kim się jest i na wypadek jakiejś kontroli móc się tam... No, więc mnie tam Zabielski pierwszy ten skoczek, który w lutym w czterdziestym pierwszym ~~przetorował~~ drogi, wrócił z powrotem do Anglii i szkolił tam nas. Opowiadał jak to się trzeba zachowywać, jakie tam perypetie mogą nas spotkać. Ponieważ on w Warszawie znał ~~ten~~ właściciela kawiarni Napoleonka przy Wareckiej czy róg Nowego Świata /była taka Napoleonka/ nazwisko jego nawet mi podał, że ja mam się podać, że ja jestem kelnerem u niego. Opisał mi dokładnie, gdzie się ten lokal znajduje i jak się nazywa szef, gdzie ja mieszkam - adresy. ~~Był~~ To było tak na gorąco, w razie jakiegoś tam powiedzmy sobie kontrolowania przy skoku. Poza tym zgłaszał się, przychodził tam na ten kurs odpraw^{owy}czy pan Winiewicz, to był kierownik, nie tyle kierownik ile może jeden z funkcjonariuszy Urzędu do Celów Wojny, był taki urząd, którym kierował Seyda. Seyda to był przedwojenny naczelny redaktor "Kurierza Poznańskiego" - czołowy endek, narodowiec. No Winiewicz wiadomo, Winiewicz był z kolei redaktorem naczelnym pisma BBWR-u "Dziennika Poznańskiego", no ale jakoś się dogadali, że jeden endek, drugi BBWR-owiec pracowali dla opracowania przyszłych celów wojny, czyli opracowywali serwis na konferencję pokojową - jak ma wyglądać Polska po zwycięstwie. I wtedy Winiewicz do nas przychodził ~~tam~~ jako delegat rządu Sikorskiego i tym, którzy do kraju lecą uświadamiał, że tu mamy taki program, że musimy odzyskać to, to, to, no to co potem Polska Ludowa też zdobywała, to samo i tam było. Z tym, że ten program był dwojaki -

był program minimalistyczny i maksymalistyczny. Program minimalistyczny przewidywał Prusy Wschodnie, Powiśle z Gdańskiem no i całe tutaj powiedzmy sobie to bliskie Pomorze i ziemia opolska. A już tam dalsze jak Szczecin i dalej wysunięte nad Odrą tereny były objęte ewentualnie programem maksymalistycznym, to znaczy wtedy, gdyby Polsce się powodziło.

- Kołobrzeg miał być polski?

Tak, tak w tym programie dopiero maksymalistycznym. Także nas uświadamiał pan Winiewicz.

- Przy oczywistym zachowaniu Lwowa i Wilna.

- No oczywiście, tam wtedy, o tym nie było mowy, żeby tam powiedzmy sobie zrezygnować z terenów wschodnich. Także byliśmy przygotowani i wojskowo, i kondycyjnie, no i jeżeli to można powiedzieć politycznie, bo w zasadzie myśmy się tam polityką za bardzo nie zajmowali. Ale jeżeli się szło do kraju i się tam powiedzmy sobie miało brać udział w ruchu oporu, no to trzeba było wiedzieć, o co się walczy.

- Niech pan to umiejscowi znowu czasowo, jakie to są miesiące?

Więc to było w okresie już przełom 1942/43, ~~tak~~ To był grudzień, styczeń, luty czterdziesty trzeci.

- To dosyć długo trwało w sumie?

To trwało długo, długo, ~~tak~~ No i dosyć długo trwało wyczekiwanie, później, już tak spreparowanych cichociemnych przrucano na stację wyczekiwania. Było tych stacji dziesięć. Ja byłem na dziesiątej stacji wyczekiwania, to było w pobliżu właśnie tego lotniska *Tempford* w południowo-wschodniej Anglii koło Cambridge. I tam objeżdżał te stacje wyczekiwania pan major Perkins, to był delegat SOE. SOE to była *Special Organization of Executive* czyli to była organizacja mię-

dzyaliancka służb specjalnych, tych które miały działać na zapleczu wroga /Niemców/ na terenach okupowanych. I tenże major Perkins decydował o tym jakie grupy polecą. Myśmy z tym majorem Perkinsem tam dosyć długo, ze dwa tygodnie rozmawiali. On świetnie mówił po polsku, był przed wojną fabrykantem fabryki bielskiej tutaj w Polsce. Oczywiście prawdopodobnie jako agent Intelligence Service. No i były takie trudności, że już nas zaalarmowano, mamy lecieć, ale odwołują lot dlatego, że okazuje się, że jest na trasie niesprzvjająca aura, że jest powiedzmy jakieś zaburzenie, jakieś oblodzenie. No, najbardziej niebezpieczne w tym czasie to było oblodzenie. Nie mieli jeszcze powiedzmy tych środków, jak teraz przeciwooblodzeniowych, że jeżeli samolot na trasie złapał oblodzenie no to był unieruchomiony i były kraksy. Były wypadki, że samoloty ginęły. Także po tych kilku próbach nieudanych, wreszcie na początku marca, 13 marca, zaalarmowano nas i wówczas odbyła się operacja dość poważna. Operacja, która obejmowała pięć załóg. Z 13-go na 14-go marca wyleciało z lotniska Tempstord pięć samolotów halifaxów . W każdym samolocie załoga plus czterech skoczków. Skoczkowie byli ubrani w kombinezony, ale te kombinezony były na ubraniach cywilnych. Także to wtedy był okres jeszcze taki półzimowy - mieliśmy płaszcze, kapelusze, tak - wszystko.

- Maskujące takie?

Maskujące, tak. I te kombinezony, następnie korkowe takie gumowe kaski, no oczywiście jakiś fiński nóż taki dobry do czegoś.

- Pieniądze, mapa?

Tutaj były tak zwane gwoździe z pieniędzmi, pasy, następnie każdy miał taką fosforyzowaną kuleczkę, piłeczkę. No to

po prostu dlatego, że jak byśmy lądowali - jest ciemno, żeby podrzucić, żeby ci którzy odbierają, placówka mogła nas odnaleźć. No więc w ten sposób spadochron przyczepiony na pasach karabinkiem do ściany samolotu. Nad dziurą czterech skoczków, ~~z~~ tym, że oczywiście w pierwszej fazie lotu wszyscy sobie wygodnie siadają, tam, gdzieś na ławeczkach, z tyłu. ~~W ten~~ czekamy na odpowiednie sygnały. Sygnał daje *dispatcher* czyli ten tak zwany wykidajło, to był zawsze radiotelegrafista z grupy załogi. Myśmy trafili na załogę polską, nas przewoził *halifaxem* kapitan Kuźmiński, to był dowódca załogi. Lecimy trasą nad Morzem Północnym w kierunku wybrzeży Szwecji, następnie nad Danią. Nad Danią samolot leci lotem koszącym, żeby uniknąć ognia artylerii przeciwlotniczej, która już prażyła nad Danią. Następnie nad Bałtykiem i nie dobiegając do wybrzeży Szwecji kurs na południe, w rejonie Zatoki Szczecińskiej, następnie nad Fordon, wstęgą Wisły w kierunku na Płock, potem kurs na południe w rejon Koniecpola, gdzie winna znajdować się placówka odbiorcza. Następuje wymiana sygnałów radiowych "Eureka-Rebeka". Z dołu zabłyśły światełka latarek wskazujące, że placówka czuwa i przyjmuje nas. Skacze numer pierwszy, za nim trzech pozostałych. Ja skaczę jako drugi, na podwójnym spadochronie ze stukilową paką nad głową. Chłopcy z placówki pozbierali nas, wraz ze sprzętem bardzo szybko i sprawnie. Spakowali, ewakuowali do pobliskiej wsi Bystrzanowice. Rejon spadku placówki znajdował się około wsi Bystrzanowice między Janowem a Lelowem w rejonie Częstochowy. Dwie noce marszu i o świcie dobijamy do stacji kolejowej Rudniki na trasie Częstochowa-Warszawa. Stąd już bez przeszkód docieramy do Warszawy. trafiamy do lokalu kontaktowego przy ulicy Marszałkowskiej róg Nowogrodzkiej do ciotki - pani Natanson. Oczywiście

cie po wymienieniu odpowiedniego hasła na temat kupna wełny przyjmuje nas właścicielka lokalu i dwie ciotki, które opiekują się w następnej fazie naszymi dalszymi losami. Ja trafiam do Saskiej Kępy do mieszkania państwa Lachertów, przy ulicy Katowickiej 7. Pani Lachert, jest tą właśnie, która opiekuje się mną i kolegą z tego samego zrzutu „Florianem” Stefanem Jasińskim. Szybko zaklimatyzowaliśmy się, nawiązaliśmy przez łączniczki kontakt z dowództwem, z Komendą Główną Armii Krajowej, w szczególności z szefem personalnym i z szefem oddziału drugiego. Łączniczka zaprowadziła mnie na spotkanie z szefem oddziału drugiego pułkownikiem „Dzięciołem” i „Dzięcioł” - pułkownik Marian Drobik przeprowadził ze mną rozmowę półsłużbową, półprywatną. W wyniku tej rozmowy otrzymuję przydział na inspektora do ekspozytury o kryptonimie „Lombard”. Szef „Lombardu”, prezes major Edward Jeter przekazał mnie kierownikowi komórki AW - Agencyjno-Wywiadowczej „Majstrowi Ignacemu” - porucznikowi czasu wojny Stefanowi Łapickiemu. Miałem rozpocząć z tymże „Majstrem Ignacym” pierwsze kroki współpracy. Majster nadał mi z miejsca pseudonim „Nordyk”, a to z tej przyczyny, że prezes uprzedzając go o moim do niego przybyciu określił mnie jako wysokiego, szczupłego blondyna w typie Nordyka. Przez pierwszych parę dni „Majster” powierzył mi redagowanie dwóch stałych pozycji do „Mewy” to jest Okresowego Meldunku Wywiadowczego do Centrali Oddziału Drugiego Komendy Głównej. Pozycje obejmowały ODB, czyli rozmieszczenie wojsk niemieckich na terenach polskich na zapleczu frontu wschodniego, oraz nastroje wojska niemieckiego i ludności niemieckiej. Danych do pozycji pierwszej dostarczał mi co tydzień Maks przedwojenny podoficer zawodowy. Maks był zatrudniony na stacji rozrządowej Fort Bema, skąd kierowane były transporty wojskowe na wschód.

Pracował przy przetaczaniu wagonów i składaniu pociągów. Z naklejonych na wagonach adresów wielkich jednostek, dywizji, do których były kierowane zaopatrzenia dowiadywał się o aktualnych miejscach postoju. Adresy i nazwy jednostek wykuwał na pamięć, po czym po ukończeniu pracy sporządzał szczegółowe wykazy. Do opracowania drugiej pozycji wykorzystywałem dostarczane mi fotokopie setek listów żołnierzy niemieckich pisanych do rodzin w Rzeszy. Listy te były podkradane z poczty głównej, przez którą przechodziła korespondencja z frontu wschodniego. Już na początku mojej pracy konspiracyjnej zetknąłem się oko w oko z gestapo. A było to tak: pewnego dnia wyszedłem z „Majstrem Ignacym” z Mirówki /Mirówka to lokal konspiracyjny przy ulicy Mirowskiej/. Wyszedłem na spotkanie z Maksymem, żeby odebrać od niego meldunek cotygodniowy. Spotkanie miało się odbyć w małej, niepozornej restauracji przy ulicy Chłodnej. Idziemy ulicą Elektorálną w kierunku Chłodnej i kiedy dochodzimy do ulicy Solnej widzimy przed sobą idący w tym samym kierunku co my patrol żandarmerii. A w mijanej bramie jeden z żandarmów i trzech cywilów sprawdza jakiegoś mężczyznę. Zwalniamy kroku i stajemy na chwilę przy Solnej, aby nie wyprzedzić idącego przed nami patrolu. W tej samej chwili otacza nas trzech gestapowców *Hände hoch* rozkazuje jeden z nich, po czym następuje nerwowe macanie po kieszeniach i *Ausweis bitte*. Mam co prawda oryginalną kenkartę wystawioną na fałszywe nazwisko Józef Kowal, ale słaby dowód zatrudnienia w charakterze pracownika młynarskiego. Na moje szczęście szefa grupy wypadowej zainteresowała osoba „Majstra Ignacego”. Na mnie nie zwracał uwagi, raz po raz spoglądał to na fotografię, to na twarz „Majstra” i coś mruzczał pod nosem. Wreszcie pada z jego ust krótkie *Kommen Sie mit*. Majster rusza, a ja pozostaję na miejs-

cu. Obstawiający mnie gestapowiec waha się chwilę, ale widząc oddalającą się trójkę rusza sam za nimi do samochodu. Kątem oka widzę jak siadają do samochodu, wtedy wolnym krokiem idę w kierunku Hali Mirowskiej, potem przyspieszam kroku, aby jak najprędzej dotrzeć do „Koraba” - kierownika komórki bezpieczeństwa - kapitana Karpińskiego Włodzimierza, by zawiadomić go o zatrzymaniu przez gestapo „Majstra Ignacego”. Po paru tygodniach Majster Ignacy wyszedł z alei Szucha, gdyż jak się okazało, że nie jego gestapo poszukiwało, ale innego mężczyzny o podobnej powierzchowności i fizjonomii. „Majster Ignacy” znał świetnie język niemiecki, miał świetne papiery i wybronił się oczywiście z wszelkich zarzutów jakie mu stawiano. I w tej sytuacji nie u niego nie znaleźli trefnego i zwolnili go. Ale po tej pogładowej lekcji chodziłem ostrożnie i czujnie jak kot, tym bardziej, że wkrótce sam stałem się obiektem zainteresowania ze strony gestapo, kiedy to aresztowano kilku moich kierowników sieci. Poza współredagowaniem „Mewy” nadzorowałem działalność sieci wywiadowczych. Sieć wywiadu według ówczesnego przyjętego schematu to kierownik plus kilku agentów rozpracowujących poprzez dostarczanie ważnych informacji konkretny obiekt lub zagadnienie z dziedziny zbrojeniowej przeciwnika. Sieć Magika na przykład penetrowała produkcje uzbrojenia do samolotów na Okęciu w zakładach Skoda, zaś sieć Klary dostarczała cennych informacji o produkcji takich zakładów zbrojeniowych jak *Ig-Farbenindustrie*, Azoty, Chorzów i Kędzierzyn, czy Huta Batory i Huta Ferrum. Uzyskiwane informacje i materiały podlegały mojej wstępnej „obróbce”, po czym szły do biura studiów, które nazywaliśmy w skrócie Besta, a dalej do centrali oddziału drugiego KG AK. Sztab aliancki, do którego trafiały ostatecznie nasze comiesięczne informacje za-

interesowany był szczególnie niemiecka produkcją lotniczą i nowymi rodzajami broni, które propaganda goebbelsowska określała jako *Wunderwaffe* lub *Vergeltungswaffe*. Depesze z Londynu zawierające zadania dla wywiadu AK zalecały zwrócić uwagę na basen Morza Bałtyckiego, gdzie Niemcy produkują jakąś nową, tajemniczą broń lotniczą. Tutaj przypomniał mi się znajomy kupiec bydgoski Bernard Kaczmarek, który kiedyś przy piwie opowiadał mi dziwne historie o tym, jak jego organizacja podziemna skierowała do Rzeszy legalnie przez *Arbeitsamt* ~~niejakiego~~ ^(Schroeder) inżyniera Szredera, a ten przyjechawszy na jednodzienną przepustkę ze Szczecina do Bydgoszczy relacjonował „Sękowski”, to jest członkowi tej organizacji, o jakichś bliżej niesprecyzowanych doświadczeniach na wyspie *Usedom*, dzisiejszej wyspie Uznam, dokąd przedsiębiorstwo, w którym był zatrudniony dowoziło żywność i zaopatrzenie. Co prędzej spotkałem się z Kaczmarkiem i mając do niego pełne zaufanie zaproponowałem mu współpracę z „Lombardem”. Okazało się, że Kaczmarek należał do organizacji pod nazwą „Miecz i Pług”, w której ukończył podchorążówkę ze stopniem podchorążego, miał pseudonim „Wrzos” lub „Jur”, oraz wiedziałem, że utrzymuje łączność z komórką „Miecza i Pługa” w Bydgoszczy, którą kieruje właśnie ten wymieniony przeze mnie „Sęk” - Augustyn Tröger - Austriak z pochodzenia. Upewniłem się w komórce bezpieczeństwa „Lombardu” co to za organizacja ten „Miecz i Pług”. Zalecono mi ostrożność, gdyż podejrzewano kierownictwo tej organizacji o współpracę z Niemcami. Podejrzenie to sprawdziło się w przyszłości i sami członkowie „Miecza i Pługa” zlikwidowali zdrajców, oczyszczając w ten sposób organizację, której szeregowi członkowie byli dobrymi Polakami, patriotami. Co do Kaczmarka „Wrzosa” i jego ludzi nie miałem żadnych wątpliwości. Poleci-

łem zatem "Wrzosowi" jak najszybsze ściągnięcie do Warszawy
 „Sęka”. „Sęk” legitymujący się legalnymi dokumentami niemieckimi
 przyjechał do Warszawy bez żadnych trudności. Na spotkaniu z
 "Wrzosem" i „Sękiem” ustaliłem sposób wykorzystania komórki byd-
 goskiej, celem uzyskania jak największej ilości informacji o
 prowadzonych na wyspie *Usedom* doświadczeniach lotniczych.
 Kiedy wymieniłem nazwę *Usedom* „Sęk” poinformował mnie, że
 przecież jego syn jest podoficerem łączności w wermachcie i
 pełni w tym charakterze służbę na wyspie *Usedom w Peenemünde*.
 „Sęk” dowiedział się od syna, że oficjalna nazwa tego poligonu
 doświadczalnego brzmi *Luftwafferversuchanstalt Peenemünde*
 oraz, że z nadbrzeżnych wyrzutni są wystrzeliwane torpedy po-
 wietrzne, jak to określali *Lufttorpeden* Była to bar-
 dzo cenna informacja, którą natychmiast przekazałem do centra-
 li. Odwrotnie uzyskałem zadanie uzyskania szczegółowych infor-
 macji o tajemniczym pocisku powietrznym i o rozniesszeniu
 wyrzutni. Skorzystałem z pobytu „Sęka” w Warszawie i na najbliż-
 szym spotkaniu ustaliliśmy wspólne ramy organizacyjne i zada-
 nia komórki bydgoskiej, której nadaliśmy kryptonim "Bałtyk".
 Była to komórka "Bałtyk 1", której zadaniem było penetrowanie
 właśnie rejonu Morza Bałtyckiego w Zatoce Szczecińskiej. W
 skład komórki "Bałtyk" wchodziły poza tym i inne sieci - jak
 sieć toruńska, sieć elbląska, które miały interesować się re-
 jonami Morza Bałtyckiego w Zatoce Gdańskiej, w rejonie Królew-
 ca i tak dalej. Zresztą sama informacja o doświadczeniach nad
 nową bronią lotniczą wyszła z Królewca. Mianowicie jeden z
 agentów naszego wywiadu zatrudniony w Królewcu, również na jakiś
 tam robotach, w knajpie słyszał jak pijany podoficer niemiecki
 wychwalał się, że teraz my mamy *neue Wunderwaffe*
 i że to jest *Luft jakas broń, Luft neue* ^T *Luftwaffe*, nowa broń powietrz-

na. No więc to była pierwsza jaskółka. Agent, który to po-
słyszał przekazał natychmiast do centrali. Centrala oczywiście
tę rzecz przeanalizowała i przekazała do Londynu. Londyn w
ten sposób zorientował się, że rejon Morza Bałtyckiego jest
rzeczywiście tym, w którym należy zlokalizować poszukiwanie
tejże nowej broni. Więc w tej chwili największe zadanie ciążę-
żyło na sieci bydgoskiej, którą kierował właśnie „Sęk”. Dla wy-
konania zadania jakie przekazała centrala „Wrzos” pojechał z
„Sękiem” do Bydgoszczy. „Sęk” ściągnął syna do Bydgoszczy pod po-
zorem śmiertelnej choroby matki. W toku bezpośredniej rozmowy
uzupełniono wszystkie wymagane informacje. A więc Kaczmarek
tak: ustalili, że pocisk z lotkami i statecznikami w kształcie
małego samolotu kierowany jest z wyrzutni *radiem*, lęci
w nadanym kierunku z szybkością samolotu myśliwskiego. Träger
junior opisał dodatkowo rozlokowanie hal montażowych i wyrzut-
ni, co „Wrzos” utrwalił na odręcznym planie sytuacyjnym. I spo-
rządzony plan z notatkami dostarczył „Wrzos” do Warszawy za
pośrednictwem jednego z członków sieci bydgoskiej zatrudniono-
go jako pomocnik maszynisty kolejowego, pseudonim „Zajac” -
Ferdynand Słonimski. Zdobyte tą drogą informacje przekazałem
do centrali, a centrala pilną depeszą radiową nadała do Londy-
nu. To były wiadomości, które „Lombard” przekazał poprzez cen-
tralę do sztabu *międzyalianckiego* w okresie lata - czerwiec,
lipiec czterdziestego trzeciego roku. Dowiedzieliśmy się póź-
niej, z komunikatu *Oberkommando der Wehrmacht*, że
z 17-go na 18-go sierpnia czterdziestego trzeciego barbarzyń-
ski nalot Anglików zbombardował rejon ~~jakiś ~~prawa~~~~ nad
Szczecinem, a z biuletynu naszego informacyjnego dowiedzie-
liśmy się dokładnie ~~że był nalot. Dowiedzieliśmy się dokład-
nie, że był to nalot, który zbombardował wyspę Peenemünde,~~

(wł. Stomiński)

Kaseta III str. A

Kaseta III str. B

ośrodek doświadczalny broni raketowej. Ośrodek, jak wiadomo, został częściowo zniszczony i częściowo ewakuowany i tu Niemcy popełnili błąd, bo ewakuowali ośrodek na teren Generalnej Guberni, przekonani że zasięg lotnictwa alianckiego tam nie sięga. Wykorzystali tutaj poligon doświadczalny artyleryjski w miejscowości Blizna i Pustków. Znajdował się tam przedwojenny poligon artyleryjski, który Niemcy przerobili na *SS-Truppenübungsplatz Heidelager*. O tym oczywiście meldowały komórki wywiadu terenowego, placówek naszych i naszych obwodów akowskich. Do centrali dochodziły wiadomości, że ze wsi Blizna wyewakuowano ludność, że przy pomocy więźniów pobliskiego obozu koncentracyjnego w Pustkowie pobudowano jakieś tam wielkie obiekty - hale montażowe, koszary i że na terenie tego poligonu znajdują się jakieś tajemnicze wyrzutnie. Teren był pod stałą obserwacją placówek z rejonu Dębica, Kolbuszowa. Centrala była na bieżąco informowana o wszystkich poczynaniach Niemców. Wkrótce rozpoczęto próbne wystrzeliwania rakiet. Wiadomość ta dotarła również do mnie, a udzielił mi jej Aleksander Pieńkowski pseudonim "Klimont". To był również członek "Miecza i Pługa", człowiek zaprzyjaźniony z „Wrzosem”, z Kaczmarkiem. "Klimont" trudnił się kolportażem prasy podziemnej w terenie i z tego tytułu trafiał do rejonu również tego obiektu Blizna - Pustków. Znał tam leśniczego na pobliskim leśnictwie Sokal Władysława ~~Rządkowskiego~~ ^{Zylowskiego} ~~Zantowski~~ i od tego leśniczego otrzymał pewne już wstępne wiadomości, jak odbywają się próby, które Niemcy tam przeprowadzają. Wrócił „Klimont” do Warszawy i przekazał mi wiadomości o tym. Postanowiłem „Klimonta” wykorzystać, zaprzysięgliśmy go do naszej organizacji, podobnie zresztą Kaczmarka, także cały ten odłam "Miecza i Pługa" przeszedł do Armii Krajowej. Zapropnowałem „Klimontowi”,

ażebyśmy znaleźli jakiego zaufanego człowieka, który w charakterze obserwatora, mógłby w leśniczówce Sokal u leśniczego ~~Zajątkowskiego~~ ^{Zajątkowskiego} Rządówkiego (poobserwować, jak tam się odbywają te próbne wyrzuty. I rzeczywiście znaleźliśmy takiego „Rafała” Kukulskiego. Jerzy Kukulski pseudonim „Rafał” zdecydował się pojechać tam zaopatrzony przez nas w dobre dokumenty jako pracownik Bakutilu, tej firmy, która zbierała odpady rzeźne. Rzekomo wysłany w rejon Mielca, Dębicy w poszukiwaniu zaginionego wagonu Bakutilu. Mając taką legitymację służbową, mógł się obracać po stacjach Dębica, Mielec i Kochanówka, która to była stacją, gdzie Niemcy wykładowali na Bliznę tam właśnie, te wszystkie swoje urządzenia. Dotarł, jak się okazuje, nasz wysłannik do leśnictwa Sokal i tam leśniczy zatrudnił go fikcyjnie jako robotnika leśnego. Ponieważ leśniczy był również członkiem Armii Krajowej, więc poszedł na współpracę z nami. Zaprowadził naszego obserwatora do lasu, w miejsce, skąd mógł zaobserwować ewentualne wyrzuty, próby. I co się okazało - okazało się, że w godzinach popołudniowych, o zmroku ukryci w zagajniku ujrzeli krążący w górze samolot obserwacyjny typu *Storch*, mieli Niemcy takie samoloty *bociany storchy*, tak. I tenże samolot zrobił kilka rund tutaj nad tym rejonem, po czym zniknął, ale następnie natychmiast nastąpił ^(wysztzał, wybuch) wyrzut rakiety. Z wyrzutu wyskoczyła olbrzymia rakietą, przewaliła się tutaj nad lasem jak grzmot - jak relacjonował nam „Rafał”. Później gdzieś spadła z olbrzymim hukem, także huk był tak niesamowity, że ziemia się trzęsła. Okazuje się, że zdążyli zaobserwować ten pocisk. To był olbrzym w kształcie takiego powiedzmy sobie beczkowatego olbrzymiego cygara, który lecąc żarzył z tyłu i dymił, no i ten straszny huk. Okazuje się, że spadł później jako ten nieudany, powiedzmy sobie, wyrzut i w

ten sposób Niemcy podobno już przez kilka dni próbowali tych wyrzutów. Wyrzuty oczywiście były na ogół nieudane, spadały bądź to na las, bądź to jeden z nich spadł na szkołę, zniszczył tam szkołę, o czym meldowały nam jednostki terenowe AK. Rzecz teraz była w tym, ażeby dotrzeć do ewentualnego miejsca spadku takiej rakiety. Wiedzieliśmy, że pocisk ten, według danych, które „Klimont” uzyskał z obserwacji w terenie, jest wystrzeliwany stromo i lotem jak haubica w stratosferę, później, po osiągnięciu takiego pułapu najwyższego, lotem znowu takim planowym spada w kierunku celu. Mniej więcej z meldunków, jakie przychodziły do centrali wynikało, że odległość spadku końcowa wynosiła około 300 kilometrów, kierunek był mniej więcej północno-wschodni. No, więc zlokalizowano, że to będzie, gdzieś w rejonie Bugu. I rzeczywiście przyszły pierwsze meldunki, że w miejscowości Sarnaki nad Bugiem zainstalowała się jednostka namiarowa lotnicza niemiecka, która przygotowywała przyjmowanie zrzutów pocisków tych raketowych. „Klimont” o tym się dowiedział od swoich ludzi, którym prasę dostarczał, również i tam w tych rejonach Siedlecczyny. Kiedy „Klimont” mi o tym zameldował zdecydowałem razem z „Klimontem” pojechać do Sarnak, ażeby ewentualnie zdobyć jakieś dobre materiały. Zabraлиśmy aparat fotograficzny „Lejka”, no i udaliśmy się w kierunku Siedlec. Wsiadliśmy na stacji Platerowo, z Platerowa pieszo do Sarnak. ~~W~~ W Sarnakach spotkaliśmy chłopcy, którzy dostarczali „Klimontowi” informacji i ci nam powiedzieli, że znajdują się już pewne tutaj ślady z tych rakiet. Mianowicie nad samym Bugiem spadł podobno niewypał, który miejscowa placówka przez swoich saperów zdążyła rozbroić i że ten pocisk jest ukryty w szuwarach, że możemy go zobaczyć. Ale przed tym pokazali nam olbrzymi krater - to był dół głębokości sześciu

metrów, średnicy jakies dwadzieścia na piętnaście - olbrzymia jama. Drabina była tam wstawiona, było widać, że to wysoka drabina, oczywiście dół cały wyczyszczony, wszystkie części jakie tam ewentualnie się znalazły już były przez Niemców zabrane.

- Co tak wybuchowało?

Okazuje się, że tam spadały pociski rakietowe wystrzeliwane z poligonu Blizna.

- Ale nie, czy to paliwo tak wybuchowało, czy ładunek wybuchowy?

To był cały ładunek, cały ten pocisk. Pocisk, jak się potem okazało po sfotografowaniu, składał się z olbrzymiego jakiegoś takiego korpusu. W przedniej części była jakaś tam kilkotonowa masa wybuchowa.

- I oni na ćwiczeniach też tę masę używali?

Tak, tak jest.

- To nie mogli zamarkować wagowo?

Nie, nie to były już ostre, ostre strzelania.

- A to przecież mogli straszne nieszczęścia

No, robili nieszczęścia. Były wypadki, że podobno całe gospodarstwa niszczyli, były meldunki. Tu gdzieś aż pod Inowrocławiem podobno dochodziło do tego, że gdzieś pocisk spadł na gospodarstwo i zrównał z ziemią. ~~Więc~~ Więc tutaj Niemcy liczyli na to, że oni mają dokładnie wszystko obliczone, mieli tam też namiarową jednostkę, która to przyjmowała, i ewentualnie wszystkie te dane ~~powiedzą~~ odnotowywała. Tam Niemcom chodziło o to, żeby wszystko zebrać co spadło, a żeby nie było śladu. Chodziło o to, żeby wywiad nie mógł się zainteresować. No, ale oczywiście ten niewypadek, który został ukryty przez miejscowych chłopów z placówki AK, jednak został sfotografowany. Sfo-

tografowaliśmy ten krater, lej, sfotografowałem również i ten cały pocisk. To była olbrzymia - długości na jakieś, powiedzmy sobie, dwanaście metrów taką ~~()~~ olbrzymia beka, z tymże tam ~~tak~~ był taki korpus olbrzymi, oczywiście ta część wybuchowa, ten niewypał, ~~niewypał~~ To zostało rozbrojone i zatopione, ~~prawda~~ tego nie było. Natomiast został sam korpus z aparaturą.

- Kto rozbroił, kto zatopił?

To miejscowa placówka Armii Krajowej.

- Czy to chodzi o ten pocisk w Mężeninie?

W Mężeninie ~~to było to~~ to był ten pocisk, tak. To był pocisk, który się znalazł nad Eugiem i tutaj udało mi się go sfotografować. Oczywiście fotografowali i inni też, ale w każdym razie zdjęcie tego przekazałem.

- A zachowało się to zdjęcie?

No zdjęcie to wywołaliśmy u Klimonta, tam u niego i przekazaliśmy to do biura studiów. Biuro studiów razem z meldunkiem posyłało jako materiał.

- Pan nie ma odbitki?

Nie, nie tego nie ma, tego nie ma. No więc tak, jak to wyglądało? Więc to był olbrzymi ten korpus, były jakieś tutaj z sześć rur aluminiowych takich *spalinowych* [2], był olbrzymi zbiornik paliwa, potem to było zakończone taką turbosprężarką, dyszą, ~~prawda~~ jakaś płyta grafitowa, no i to się zachowało jako całość. Poszliśmy wtedy do kowala. Chłopcy stwierdzili, że u kowala jest jakaś butla z płynem tego pocisku. Okazuje się, że kowal miał jakąś tam żeliwną taką banię tego, tego płynu i używał to do podżarzania żelaza, bo to było samozapłonowe. Okazuje się, że to przy zetknięciu z jakimś szorstkim materiałem samo się zapalało. I tu żelazo, powiedzmy sobie, oblane

tym po pewnym czasie zaczęło, żarzyć, żarzyć ~~się~~^{się}. Myśmy to doświadczyli na własnej skórze, bo jak zebraliśmy to wszystko /trochę tamtych skorup - jak ci chłopcy mówili/, zabraliśmy trochę tych połamanych aparatów radiowych, też były tam części różne. Następnie próbkę tego płynu „Klimont” schował do kieszeni i na stacji w Platerowie, ~~na~~ w pewnym momencie, syk i wybuch lekki. Okazuje się, że korek, którym zatkana była butelka spowodował zapalenie płynu i spaliło się. Poparzył sobie „Klimont” tutaj tego, trochę oczywiście. Trzeba było ostrożnie, bo tam się kręcili różni urlopowicze, wermachtowcy, ale jakoś ~~to~~^(...) „Klimont” pojechał z powrotem do tego, ja poczekałem na stacji. Przywiózł już butelkę z dobrym zakorkowaniem i to żeśmy oddali do naszego biura studiów. Tam to wszystko badano.

- Chyba do Groszkowskiego zdaje mi się - tak?

To zostało przepracowane, przekazano to do politechniki do profesora Truszkowskiego.

- A nie Groszkowski?

Groszkowski dostał części radiowej, ~~części radiowe i Groszkowski~~ badał częstotliwość radiową, działanie radiowe tej całej rakiety. Natomiast, jeśli chodzi o płyn ten tajemniczy zbadał go profesor Truszkowski. I rzeczywiście to samo stwierdził, że był bardzo parzący, że co tylko kropla, gdzieś tam uderzyła od razu tam zaczęło wszystko parzyć. Stwierdził potem po analizie, że to był niespotykany dotychczas w ogóle w praktyce roztwór penhydrołu, nadtlenek wodoru w osiemdziesięciu przeszło procentach. I okazuje się, że to był jeden z płynów napędowych tej rakiety. Myśmy to wszystko przekazali /przez łączniczki oczywiście/, biuro studiów to przebadalo, przeanalizowało, no i zebrany materiał zaczęli gromadzić. „Klimont” jeszcze kilkakrotnie jeździł tam do tego Mężenina, do Sarnak, jesz-

Wł. Struszyńskiego
- Marceli wy.
Wojewódzkiego
(Akcja V₁, V₂)

cze zbierał różne ^{...} bo chodziło nam o to, żeby zbierać tylko te skorupki, które mają znaki fabryczne, a żeby wywiad mógł się zorientować gdzie, co jest produkowane. I tego troszkę zebraliśmy również ~~przez~~, to wszystko się opisało. Pamiętam, że chyba dziesięć takich meldunków wywiadowczych pod tytułem

z „Lombardu” wychodziło gdzieś do miesiąca czerwca czterdziestego czwartego roku do naszej centrali. No, wiadomo później, że tę całą rekonstruowaną rakietę, opis techniczny.

- A zaraz, czy to było V₁ czy V₂?

To był V₂. To była rakietka już dalekonośna V₂.

- A ja gdzieś czytałem, że Anglicy twierdzili, że to nie dzięki nam, tylko dzięki znalezieniu cakowitej właśnie takiej rakiety, gdzieś tam w Norwegii czy w Szwecji.

W Szwecji.

- Jak pan to komentuje?

No, więc okazuje się, że oni w Szwecji też znaleźli, ale jak to tam wyglądało w czasie nie wiem. W każdym razie na naszą przesyłkę osobiście Churchill czekał na lotnisku *Croydon* no więc jest dowód, że im strasznie zależało na tym. Tak że nie musieli mieć jednak tych danych. Tak że z tą rakieta znalazoną w Sztokholmie to raczej Szwedzi mogli ewentualnie sobie to zaanektować jako państwo neutralne i tego nie dali Anglikom, a tutaj dostali żywą rekonstrukcję tego.

- Jak pan to komentuje, te odbieranie nam tych zasług?

No, więc ja panu powiem, to już jest normalna droga, ~~każdy~~ Każdy ~~nie widać~~ stara się znegliżować innych, a siebie samego stara się wykazać, że to jest ich wyłączna zasługa. Nie lubią się dzielić z innymi swoimi osiągnięciami.

- Enigma, V₂.

No, niestety, niestety to jest tak. Dalsze losy, no, to zna-

ne, już nie będę tego mówił. Bo to był potem ten most i tutaj specjalista z naszego oddziału drugiego to przetransportował. W ten sposób skończyła się akcja, która była bardzo fascynująca.

- Jedna z najbardziej spektakularnych.

I spektakularna także. I powiedzmy sobie przekazanie Anglikom wiadomości o latających tych bombach, które później dopiero po ośmiu miesiącach trafiły do nich już dała im możliwość odpowiedniego przygotowania się.

- Czy było możliwe jakoś radiową drogą rozstrajania częstotliwości, czy tam...

No, to próbował profesor Groszkowski, ale czy to skutkowało nie wiem. Próby były, nie wiem jak to tam dalej wygląda.

Także skończyło się na tym, no nadszedł już po tym pierwszy sierpień czterdziesty czwarty. Znalazłem się w Warszawie na odprawie u szefa „Lombardu” na Powiślu. Dostaliśmy polecenie, że mamy wszyscy na swoich kwaterach przebywać i czekać dalszych rozkazów. Ja miałem swoją kwaterę przy ulicy Polnej i tam dołączyłem do batalionu Golskiego, tak że w zgrupowaniu Golskiego przeszedłem Powstanie Warszawskie. Byłem oficerem w sztabie Golskiego. Jakiś czas adiutantem, a później byłem oficerem informacyjnym zgrupowania. Do niewoli nie poszedłem, natomiast poszedłem jako cywil, urwałem się, miałem jakieś obsesję - nie lubiłem chodzić do niewoli. Udało mi się uniknąć niewoli sowieckiej, udało mi się uniknąć niewoli niemieckiej. I teraz w trzecim już przypadku - Powstanie Warszawskie - również postanowiłem jednak nie pójść do niewoli. W konsekwencji może to wyszło niepomysłnie dla dalszych moich losów. No, okazuje się, że później Polska Ludowa, no niestety nie uznała naszych tutaj zasług - tak.

- Pan coś powie o tych losach?

I jak tylko dorwali się do władzy

- Pan wyraźnie współpracował z Niemcami.

No, tak.

- To się okazało tylko po wojnie - prawda?

Tak, no zaczęli tam później różne rzeczy wyciągać. No, przede wszystkim nie mogłem się ujawnić, no bo jak się dowiedziałem o tym, że zaczynają ujawnionych aresztować, że tutaj w Milanówku, gdzieś tam już cały sztab zagarnęli. To nie było innej [rady] jak tylko się przyczaić. No, więc już, już jako na lewym nazwisku w Bydgoszczy, gdzieś tam uczepiłem się w jakimś wydziale przemysłu i tam chciałem być pracownikiem. No, niestety, niestety doszli tam gdzieś z Gdańska, ktoś tam do mnie przyjeżdżał kolega, jego obserwowali, UB_x potem połapało nas.

- Panie Stefanie ja myślę, że to jest warte dokładniejszego zrelacjonowania. Bardzo bym prosił.

~~Ma~~ Aresztowali mnie w październiku 1945 roku, przetrzymywali w Bydgoszczy w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa, nie wiadomo jakie zarzuty mi stawiali. Ten cały szef UB twierdził, że on nic nie wie, że on ma polecenie z Warszawy i w związku z tym mnie odtransportują. Zawieźli do Warszawy, od razu na ulicę Rakowiecką - więzienie Mokotów. Ulokowali mnie w celi numer siedem, na parterze pawilonu dziesiątego. Tam spotkałem od razu już przebywających w więzieniu, w śledztwie jednego z NSZ, pułkownika lotnictwa Abakanowicza. Nie wiem czy coś wspólnego ma z tą artystką tkaczką Abakanowicz - może to córka, to mi się teraz kojarzy. Siedział tam również partyzant gdzieś z rzeszowskiego, który Ukraińców, banderowców tam likwidował, i jeszcze ktoś. A w sąsiedniej celi /jak później po sygnałach

więziemnych się dowiedziałem/ siedział jeden z kierowników BIP-u Kazimierz Moczarski. Kazimierz Moczarski, który już siedział tam dobrych parę miesięcy, był zadomowiony i odpukał nam odpowiednio przez ścianę, jak się tutaj żyje, jak tutaj traktują, co tutaj się dzieje i tak dalej, tak dalej. No, więc zaczęły się te całe śledztwa, polegające na tym, że nocami zrywali, zapalali gdzieś tam w takich pokoikach jakieś żarówki, powiedzmy sobie reflektory, oślepiali, no i na takich jakiś tam twardych stołkach na kantach siadało się no i dawaj, prawda, wmawianie różnych rzeczy. Wszystko trzeba było, co oni chcieli im powiedzieć. Że tam, że się strzelało, że tam komunistów, że to, że owo, że się [z] Polską Ludową walczyło. No, więc oczywiście ponieważ ja tylko byłem nieujawniony, a miałem tam powiedzmy sobie do czerwca jeszcze kontakty, no więc oczywiście nic takiego nie mogłem im tam powiedzieć, żebym ja tam był jakimś groźnym tym.

Ale co się okazuje?

Okazuje się, że rozszyfrowali mnie, że byłem skoczkiem spadochronowym, że byłem w Armii Krajowej, że miałem takie, takie stanowiska i takie funkcje i to i to. No, więc byłem to byłem, w każdym razie tłumaczyłem się, że walczyłem z Niemcami, a nie z nimi. ~~prawda~~ No, w każdym razie zrobili mi to, że po jakiś tam powiedzmy sobie dwóch czy trzech karcach takich tam, gdzieś panie nago tam lokowali, zmęczyli, no że ja byłem członkiem nielegalnej organizacji. No byłem, no byłem w Armii Krajowej. Jeżeli była dla was nielegalna, no to nielegalna. No, to zrobili mi akt oskarżenia. Zrobili akt oskarżenia, ale później prokurator, jakiś Żyd Lityński wziął akta i zaczął dorabiać, że to przecież był szpieg, bo to wtedy było modne. Gdyby był tylko członkiem organizacji nielegalnej, to musielibyśmy zwol-

nić, ale był szpiegiem, bo był przecież cały czas w wywiadzie w Intelligence Service, no i w związku z tym dostarczał informacje i wiadomości dla obcych mocarstw. Jakie to były obce mocarstwa? No, Polski Rząd w Londynie, emigracja. I takie tam jakieś bajeczki zaczął ten prokurator tam wypisywać, zrobił wielki akt oskarżenia i po jakimś tam roku, w czterdziestym szóstym /przeszło pół roku/ zrobili rozprawę. Na rozprawie, zasądzi mi na karę śmierci, jako niebezpiecznego szpiega. Dwóch moich ludzi, których ze mną złapali taki Janowski i Kaczmarek tenże „Wrzos” z Bydgoszczy im dali po piętnaście lat. No, skończyło się na tym, że później Bierut z urzędu ułaskawił to, zrobił na dziesięć lat i posłali do Wronek. We Wronkach siedziałem chyba do czterdziestego dziewiątego roku do kwietnia. Ale nim do Wronek dotarliśmy to wzorem niemieckiego gestapo robili tak zwane przyjęcia niemieckie Zugang, zupełnie to samo.

Cały transport z Warszawy z Mokotowa, który przyszedł do Wronek przysłany w czterdziestym siódmym roku, to była wtedy wiosna wczesna, późna zima mróz, zimno jeszcze. W nocy wyładowali z tych wagonów i wszystko plackiem na ziemię na śniegu i tam leżeć. Leżeliśmy, leżeliśmy i, dopiero sprowadzili tam całe jakieś obstawy, panie, karabiny maszynowe i nas odtransportowali do Wronek. ~~Mówię~~ W tych Wronkach siedziałem do czterdziestego dziewiątego roku. No, warunki ciężkie, jak to więzienie Wronki, prawda. Jedna cela, gdzie normalnie powinno siedzieć dwóch ludzi, jeden człowiek tak siedziało dwunastu, piętnastu - ach! Siennik prawda jeden, drugi na betonie, ludzie, panie, popadali w zapalenie płuc, gruźlicę, także tam ginęli. Abakanowicz, ten którego pierwszy raz spotkałem, zmarł we Wronkach. W czterdziestym dziewiątym nagle, panie, przychodzi ten nakaz, że mam zabierać swoje rzeczy i transportują

Kaseta III str B

Kaseta IV str A

mnie do Warszawy. Transportują mnie do Warszawy z powrotem, taki strażnik mnie tam pod karabinem bierze, i pepeszą i jadę do Warszawy.

Przyjeżdżam do Warszawy na Mokotów, ~~na Mokotów~~, Ładują mnie tam, na jakąś celę przejściową z twmi wszystkimi kryminalistami. Po tym wywołują mnie do dyżurki i w dyżurce jest jakiś, panie, wysoki taki semicki, taki pan, okazuje się /jak się później dowiedziałem/ pan Różański. Różański ze swoim jakimś pomocnikiem w tej dyżurce zaczynają mnie tam przyciskać.

- No, przyznać się.

Ja mówię, do czego mam się przyznać. Wszystko już powiedziałem, daliście mi już ten wyrok. Już w Wronkach siedzę.

- Nie, więcej wiesz rzeczy, których nie ujawniliście.

- Jakie rzeczy?

- No przvznaj^{cie} się, co tam było?

- ~~Ja mówię~~ Nic takiego tam nie było.

No, nie nie wskórali, próbowali mnie tam straszyć czymś ale...

- Bicie było?

Nie, na tej portierni nie, tam nie. Ale następnego dnia przyjechał ten jego zastępca, zabrali mnie do samochodu i zawieźli na Koszykową. Tam do tych piwnic, do lochów tego UB. I tam, w tych piwnicach do takiej ciemnej komórki. I w tę ciemną komórkę mnie tam rzucili i tam tego. Siedzę tam siedzę, ciemno, cholera, nic światła nie ma, powietrza nie ma, panie jeden dzień. Tylko tam raz po raz rzucają jakiś kocioł, kibel. Dopytuję się tych strażników, co, dlaczego ja tu jestem, co chcą ode mnie. A to załoga była Francuzi, ci emigranci Francuzi, młodzi komuniści z Francji. Tych posprowadzali i ci tam trzymali straż. Chodziło o to, że to był element dla nich pew-

ny, prawda

- Może pan coś o nich powie, bo to ciekawe zjawisko ci Francuzi.

Tak, tak ci Francuzi to byli tacy zaciekli komuniści. ~~tek~~ Oni byli wielcy, panie tego, komunistyczni tacy panie, partyzanci i gorliwie tam wykonywali swoje obowiązki, oczywiście.

- Czy z własną inicjatywą jakąś taką, czy byli po prostu dodatkowo sadystyczni?

No, bo ja wiem, w każdym razie starali się być bardzo tacy ostrzy, gorliwi. Szefem tego tam podziemia tych lochów był Żyd taki jakiś, w mundurze polskim kapitana, ale Żyd prawda, tak. No i takie towarzystwo, tego ale to wszystko było tam w więzieniu, a na górze był departament śledczy - Różański, Romkowski i ci wszyscy. I ci tam z góry, po tym, po pewnym czasie mnie tam na górę zaczęli ściągać. I na górze mnie tam ściągal i zaczęli mi wmawiać, że ja współpracowałem z Niemcami, z Abwehrą, mają dowody na to, że to, że owo, że miałem z Anglikami kombinacje jakieś. I okazuje się, że wygrzebali przy budowie trasy na Lesznie, w piwnicy nasze akta. I z tych dokumentów wynikało, że ja prowadziłem dla każdego kierownika sieci i agentów dossier. I miałem takie dossier pod tytułem "Broniek". Ten Broniek to był Anglik, to był lotnik angielski, który spod Łodzi uciekł z tego oflagu i działał u nas w A.K.. Broniek to był Ronald Geoffrey. Mówił po polsku, już tak trochę z niemiecka. Chodził jako volksdeutsch, panie, ubrany po niemiecku. I on był wykorzystywany przez nas jako kurier. Jeździł do Wiednia, do Wiener Neustadt, przywoził materiały różne wywiadowcze, dobrze się spisywał. Nawet był jakiś czas w takiej grupce egzekutywie, tam rozwałął tych gestapowców. No, ale wreszcie zakochał się w jakiejś tutaj córce lekarza przy Nowym Świecie

/róg Nowego Świata i Pierackiego dawna/, tam nawet chodziłem do niego i zapragnął wrócić do Anglii - to był czterdziesty trzeci rok.

Ja mówię - jak to do Anglii, w jaki sposób? A on do mnie powiada, że ja tutaj mam możliwości, no ja mam możliwości, bo poznałem takiego pułkownika z ROA - Russkaja Oswoboditel'naja Armija - pułkownika Smysłowskiego, Borysa Smysłowskiego, że on jest szefem Abwehry - kontrwywiadu u nich, i że on mógłby jego przeszwarcować do Norwegii. A z Norwegii na Szwecję i w Szwecji potem przez Ambasadę Brytyjską do Anglii. Oczywiście pod pretekstem, jako agent niemieckiej Abwehry. A prawdopodobnie mógłby sobie pracować jako podwójny. No, takie rzeczy się działy, ale to była sprawa dla nas bardzo taka cienka i poufna. No, cholera wpadło to im w łapy, panie.

- Ale, czy to się stało, on pojechał?

Pojechał, to nawet na ten temat w "Stolicy" kiedyś była notatka. Matka tej dziewczyny, która tam się w nim zakochała pisała, że Broniek pojechał i był w Anglii. Więc wyglądała ta sprawa tak bardzo, powiedzmy sobie, fantastycznie. Ale to miało pewne odzwierciedlenie tam w jego dossier. No, więc przede wszystkim tam było moje zapytanie do centrali, czy Borys Smysłow jest pewny czy nie, czy może Broniek się z nim kontaktować? Oczywiście dostałem odpowiedź, że Smysłow^(!) jest trefny, że absolutnie nie zgadzają się na żadne kontakty. No, więc ja to przekazałem temuż Anglikowi. * Mówię: Panie, że to jest niemożliwe, niemożliwe, bo nasza Komenda się nie zgadza na kontakty ze Smysłow^{skim}em. A on powiada, one są głupie, ten Smysłowski to jest swój człowiek, ja tam jednak będę. Ja mówię, jeżeli będziesz, to na własną rękę. I zgłosiłem do centrali, że Broniek się uparł i na własną rękę. No i jak na własną rękę to dobrze, da-

li mu jakąś obstawą taką, żeby go pilnowali, ~~prawda~~ Przy Belwederskiej, gdzieś tam mieszkał ten cały Smysłowski, do niego się zwrócił. Poszedł, ale ci z obstawy tam czaili się, pilnowali. I mówi potem mi Broniek po tej wizycie, że Borys nie chciał z nim rozmawiać, bo powiada, po co ta obstawa. No, więc doszło do tego, że Broniek mi powiedział, że już ma sprawę załatwioną, że będzie przerwany. Jak będzie przerwany, ja ciągle to melduje i na to są pewne jeszcze dowody. Dostałem potem przez łączniczkę wiadomość, żeby wypłacić Bronkowi odprawę i zerwać z nim kontakt i niech jedzie, zwolnić go, no i w ten sposób. Spotkałem ostatni raz tego Bronka i mówię mu: Tutaj jest dla pana odprawa, tych pięć tysięcy "młynarek", czy ile tam dostał i pana organizacja zwalnia i wszystko co pan będzie robił, to już pan robi teraz nie jako członek organizacji, tylko jako prywatny Anglik. No i pożegnaliśmy się, no i pojechał. Ten ślad był w tych dossier i te cholery to złapali.

- Co się dalej stało z tym Bronkiem?

No, Broniek dotarł... ~~dotarł~~, ~~dotarł~~, bo była później w radio BBC o godzinie ósmej, po tym sygnale była wiadomość - Rony przesyła pozdrowienia dla Zosi, jest zdrow i cały i dotarł do mety czy coś takiego, pozdrawia rodzinę i tak dalej. On tam się z nimi umawiał.

- Był umówiony z tymi?

No, to to dla nich, dla nich. Bo ja się potem o tym dowiedziałem, czytałem bodaj w pięćdziesiątym czy sześćdziesiątym którymś roku w "Stolicy". Ta pani to ~~by~~ ten temat jako sensacyjkę podała. I prawdopodobnie on się z tą dziewczyną potem ożenił i już mieszkają w Anglii. Ale domyślałem się, ~~domyślałem~~ ~~się~~ że pojechał ten Broniek tam. Ten Borys Smysłowski przerzucił go, ale dlatego, żeby siebie ewentualnie asekurować, że on

powiedzmy z Niemcami działał, ale pomagał również i stronie drugiej. Chciał mieć pewne atuty. I on te atuty w ten sposób sobie na pewno zdobył. Broniek prawdopodobnie dostał się tam, dostał się do ambasady szwedzkiej, tam na pewno ujawnił kto jest, przerwali go do Londynu. W Londynie też go tam Intelligence Service odpowiednio przemaglowało i zrobili z niego podwójnego agenta chyba, chyba tak. Bo przecież mieliśmy podwójnych agentów, którzy powiedzmy sobie bardzo wielkie przysługi oddali aliantom. No, był taki kapitan Czerniowski, no osobiście go znałem, bo przed odlotem do kraju Czerniowski z nami rozmawiał. On był takim szefem wywiadu na Francję, gestapo go złapało no i poszedł na współpracę rzekomą z gestapo. Oni tam sfingowali ucieczkę jego, on się dostał do Londynu do Anglii, no i tam później odegrał rolę podwójnego agenta. I on spowiadał, że zmylił Niemców w czasie drugiego frontu. On cały czas jako agent niemiecki meldował Niemcom, że Anglicy przygotowują inwazję na Calais, na Boulogne, tam na Kanał La Manche. Anglicy robili fikcyjne koncentracje, makiety prawda, że tu się wojsko grupuje i Niemcy w to uwierzyli. Cała uwagę koncentrowali na Kanał La Manche, a tam Normandia, prawda, ten. Więc to był taki przykład, że ten Broniek prawdopodobnie też mógł być wykorzystany jako podwójny agent.

Ale ja przez to teraz musiałem się gimnastykować. I co tu z takim skurwysynem Różańskim, przepraszam. Nie, że to była współpraca z Abwehra, z Niemcami tego owego, straszne sprawy. Ale, ale dowodów żadnych nie ma, bo ja się do niczego nie mogę przyznać. Tylko im mówię, że owszem był taki lotnik angielski, który u nas był, ale on na własną rękę tam sobie robił jakieś tam sztuczki. Myśmy z tym nie mieli nic wspólnego, nic o tym nam nie wiadomo. No i proszę sobie wyobrazić, że zaczęli mnie

tam strasznie maltretować, cholera. Tak i psychicznie i ci tam panie w tym lochu i potem izolowali mnie do takiej sali, gdzie znowu były reflektory cały dzień i noc i tego. I cholera myślę sobie, co ja tutaj panie przecież mnie tu wykończą cholera. I zacząłem wpadać /ale pełen świadomości/ w taką powiedzmy sobie nerwową atmosferę, cholera. I zacząłem sobie mówić, co będę teraz tutaj rozrabiać, wariata zrobić. Muszą coś ze mną zrobić. Ponieważ stale sam jestem tam i taki jest tutaj stołek, jakieś krzesło, jakiś kibel, to zaczynam to rozwalać tam ten cały i drzwi tam panie tego, pomazałem. I alarm się robi na tej całej, panie, że tu jest ktoś kto zaczyna tam rozrabiać, wariować. I ci Francuzi wtedy się przyezaili do tych drzwi. A ja już tak specjalnie się zrobiłem, że ja już jestem furiat, ~~furiat~~ I takich dwóch czy trzech tych Francuzów tam przy tych drzwiach było i w momencie kiedy ja się trochę zmęczyłem to oni te drzwi szybko otworzyli, a ja przy drzwiach tutaj jestem i wpadłem na nich. Na nich wpadłem, prawda, to zacząłem tam się z nimi szamotać. Oni mnie tam obezwładnili i mnie zanieśli na dyżurkę do tego Żyda naczelnika więzienia.

Oh! Ten się strasznie przestraszył, panie, cóż to tutaj się dzieje. I ten, ci Francuzi mówią, że to niedobrze coś jest, trzeba coś zaradzić. A on powiada - lekarza, lekarza. Lekarza sprowadzili, jakiegoś lekarza, panie, lekarz, lekarz, ale w międzyczasie od Różańskiego przychodzi śledczy i tego, alarm zrobili, dowiedział się, że tutaj rozrabiam. I zaczęli wtedy ci śledczy - nie, stanowczo tutaj z powrotem do celi. Ale lekarz, lekarz, lekarz powiada - nie w tym stanie nie można, w tym stanie trzeba go na Mokotów. Do szpitala tam, oni mają szpital tych nerwowo chorych, psychiatryczny oddział na Mokotowie. I tam mnie zawieźli. Jak mnie tam zawieźli, przyjęła

mnie pani doktor Szembergowa Żydówka, też Żydówka. No i tego, ja w dalszym ciągu jestem w tym stanie, takim podminowanym. Ja sobie go napędzałem, napędzałem, napędzałem, żeby tam się wyrwać z tego piekła. I proszę sobie wyobrazić, że Szembergowa oceniła mnie, określiła mnie, że ja jestem tutaj, prawda, jakiś tam depresiza, depresiva, depresja ten, no i trzeba tutaj go leczyć. Jak leczyć to zaczęła mnie uspokajać, powiada dobrze, dobrze już pan będzie u nas, tam już pan nie wróci, tu pana wyleczymy, tak łagodnie, łagodnie i tam sobie posiedziakiem ze dwa miesiące.

- A czy dotychczas nigdy słowo "symulacja" nie padło?

- Nie, u mnie nie.

- To dobrze pan to robił.

- U mnie nie, u mnie nie.

- Nie, czy oni nie zarzucili panu, że pan symuluje.

Nie, nie, ja musiałem konsekwentnie iść, bo doktor Szembergowa ta ta pani lekarka musiała zastosować kurację. A kuracja polegała na tym, żeby tutaj udzielić trochę wstrząsów. A wstrząsy wtedy były, jakieś tam wstrzykiwali kardiazolowe takie te roztwory. Nie było jeszcze tych elektrycznych tylko kardiazolowe. I ten, takich tych tam było dwóch milicjantów - takich sanitariuszy, ci mnie wzięli pod pachy i zaprowadzili do tej Szembergowej. Ona mnie uspokajała.

- Czy ona się zorientowała, że pan symuluje?

Nie, nie, nie ona nie, ona nie. Ładuje mi wate tutaj w zęby, ligninę prawda. Żeby mi języka nie przegryzł i normalnie każe mi się położyć i zastrzyk mi ładuje. Ładuje mi ten zastrzyk kardiazolowy jakiś i proszę sobie wyobrazić, że czuję cholera, jakby mi tu się całe, panie, stropy na mnie padają, grzmoty jakieś, hałasy i tracę przytomność. Jeden wstrząs. Prawdopodobnie to

chodziło o to, żeby te wszystkie powiedzmy sobie jakieś naleciałości psychiczne tutaj oczyścić, ~~tam~~ Po tym wstrząsie zaprowadzili mnie do sali, oczywiście wygodnie sobie na łóżku spocząłem. No i zaczynam przychodzić tutaj do siebie wraca, wraca, wraca bardzo powoli świadomość, ale nic nie wiem, mam pustkę całkowitą, całkiem mam oczyszczony umysł - nic, pusto. Nie wiem, co tam jest, jakiś komin widzę prawda, jakieś mury, jakiś ludzi coś, coś. Powoli, powoli dopiero po godzinie, po dwóch zaczynam wszystko sobie z powrotem uświadamiać, uświadamiać no i wiem, gdzie jestem, co jestem. Akurat ten nasz oddział tych nerwowo chorych czy więźniów sąsiadował ze strzelnicą, gdzie wyroki robili. Cholera, co noc pukali, strzelali panie, to, to jeszcze pogłębiało nastrój - rozstrzeliwali, tak.

- Na strzelnicy?

- No, taka była.

- Ja słyszałem o piwnicy.

No, tam gdzieś było za szpitalem, tam pod murem, tam rozwalali. Słyszałem, słyszałem, co nocy, co nocy słyszałem jak tam prawda rozwalali.

- Okrzyki jakieś?

No, to tam specjalnie nie, tego nie było. No, więc tak, musiałem to przejść to było straszne. Ale drugi raz po jakimś tygodniu znowu mnie prowadzą, ale już wiem co to jest, prawda, no więc się odpowiednio nastawiam. Już to mniej przeżyłem, trzeci raz, także. Po tym Szembergowa, już zacząłem być spokojny, i ona mówi, "no, dobrze to teraz jeszcze, jeszcze to, jeszcze tamto, różne próby, badania tam". I po jakimś tam powiedzmy sobie okresie czasu to już był czterdziesty dziewiąty, listopad zwolnili mnie z tego szpitala i zaprowadzili mnie na celę ogólną. Mówi ta pani doktor Szembergowa - niech pan się nie martwi,

niech pan się uspokoi, pan teraz będzie między ludźmi, na celę ogólną pan pójdzie. Tam już pan nie wróci. No, więc mnie tam zaprowadził, ten strażnik na portiernię, i na portierni jest taki sierżant, taki przodownik tych strażników i pyta się - celtówkę macie? No, celtówka to każdy tam więzień miał swoją - imię, nazwisko i tego żeby mogli tam gdzieś przyczepić. Dałem mu tę celtówkę i się pyta - a jakie wykształcenie. Ja mówię, wyższe mam, wyższe wykształcenie - prawnik, ekonomista. A to on powiada uczony, uczony. Jak uczony, to na kaplicę. I proszę sobie wyobrazić, że w tym czasie w dawnej kaplicy urządzili biuro jakiś studiów, biuro projektów więziennictwa. I tam wszystkich architektów i inżynierów ulokowali - więźniów, a obok była salka dla profesorów PSL-owców z Krakowa - Tarnowski, Buczek, Miazga, Mierzwa - o, ci wszyscy tam siedzieli. I dali tym PSL-owcom profesorom, bo to byli starzy ludzie, już leciwi możliwość bytowania jako naukowcom, żeby tam sobie, prawda, studiowali. I ten głupi, przepraszam, przodownik na moje szczęście wziął mnie właśnie za takiego, który został zapotrzebowany tam do tych profesorów. Zaprowadzili mnie tam, no i tam oczywiście od razu trafiam do takiej celi ogólnej, gdzie są sami inżynierowie budowlancy, technicy budowlani, kreślarze różni i tak dalej. I spotykam dwóch - jednego akowca Kozioł się nazywa, a drugi Łódź technik - kreślarz. Od razu mnie tam, zaopiekowali się mną, i powiadają - tutaj będziesz z nami razem, tutaj jakoś ci będzie dobrze. I rzeczywiście doszłusowałem do tego biura projektów więziennictwa. Okazuje się, że tam siedzieli sami inżynierowie budowlani z Ministerstwa Obrony Narodowej, którzy popełnili ogromne przestępstwa, polegające na tym, że fikcyjnie projektowali i budowali obiekty, wille dla generałów i dygnitarzy i w zмовie z tymi dygnitarzami pieniądze

strA

↑
↓
strB

Kaseta IV

wszystkie dzielili między sobą i nimi, a obiektu nie budowali. Takie to były te oszustwa. Złapali ich na tym, że taką wille fikcyjną miał dostać ruski generał, a ruski generał nie był wtajemniczony w te machlojki i idzie pod wskazany adres, a tam willi nie ma, puste pole, prawda. I to był tak: pan Sztompka brat tego słynnego pianisty, pan Przybylski inżynier, pan Openhein /?/ sama elita, panie. I ja teraz między nimi siedzę. No ja jestem polityczny tam, jeszcze drugi, trzeci, czwarty polityczny. Dużo tam Żydów siedziało takich tych inżynierów różnych Piżyców nie Piżyców, Pawłowskich, tego. I tam jakoś z pół roku tak wydobrałem. Już tam zapomnieli o mnie, czy zrezygnowali i w pewnym momencie szykują transport do Wronek. No i wszystkich politycznych z tego biura studiów i z tego grona profesorskiego wyławiają i na transport do Wronek. I z powrotem do Wronek. Wróciłem do Wronek w pięćdziesiątym chyba którymś roku, tak że zostało mi nie całe osiem miesięcy do odsiedzenia, bo miałem potem zmniejszony ten wyrok do pięciu czy sześciu lat. I tam przesiedziałem jeszcze jakieś powiedzmy sobie te osiem miesięcy i wyszedłem w sierpniu 1951, po odsiedzeniu wyroku, tak. Oczywiście, już pod koniec tam mnie ulokowali cały czas na pojedynce, także już tam, prawda, specjalnie mnie tam zaczęli śrubować, żebym broń Boże nie miał kontaktu z nikim innym, bo wróciłem przecież z ministerstwa z Warszawy. Trafiałem do takiej celi, prawda, zapluskwionej, gdzie w nocy czarno się robiło na tym łożu - bo to same pluskwy. No, walczyłem z tym cały czas, no, jakoś potem wyszedłem z tego wszystkiego i się tarapaty skończyły. Ale jeszcze sobie Różański mnie przypomniał. Przysłał swego śledczego do Wronek i ten jeszcze kazał mi apiat - od początku wszystko, prawda. Ja mówię - panie przecież wszystko już wam powiedziałem. No jeszcze,

jeszcze, jeszcze, więc jeszcze im tam powiedziałem. Czepiał się tego Anglika - ja mówię, to już jest sprawa, która nas nie obchodziła, to jest prywatna, zresztą to już zeznałem, możecie wierzyć albo nie - no, uwierzyli. I na tym się skończyły moje tarapaty. Jak wyszedłem, prawda, no to potem ciąg dalszy też jeszcze był, musiałem się błąkać, jeszcze dwa lata bez pracy, chodzić, nigdzie nie chcieli zatrudnić - no normalny los.

- Panie Stefanie, pan jest dużym szczęściarzem, przecież pana wypuszczono w najbardziej paskudnym okresie.

No właśnie, muszę powiedzieć, że troszkę miałem poparcie Spychalskiego. Dzięki Spychalskiemu, kiedy jeszcze Spychalski był w łasce.

- Wtedy Spychalski siedział.

Ale jeszcze kiedy Spychalski był w łasce, Spychalski interweniował w mojej sprawie. Dlatego, że moja pierwsza żona była kuzynką profesora Niemojewskiego, Lecha Niemojewskiego, który był profesorem Spychalskiego, a Spychalski był u niego asystentem. I Lech Niemojewski prosił Spychalskiego, żeby tam troszkę złagodził moje sprawy. Bo i żonę też zamknęli, ale później ją wypuścili. I dzięki Spychalskiemu zrobili mi potem z tej kary śmierci tylko te sześć lat. No i wypuścili. Także troszkę to. Wiem, że Spychalski później też za to, że był właśnie trochę po naszej stronie, też, prawda, był posądzony.

- Czy pan składał podanie o ulaskawienie z kary śmierci sądowi?

Nie, nie oni z urzędu to robili, z urzędu, z urzędu. Jak się skończyła ta cała rozprawa, czy pod koniec rozpraw uzasadniał sędzia to - wyrok jest surowy, ale zasługi poniesione przez oskarżonego, dla dobra kraju, dla Polski kwalifikuje go na wielkoduszne i tak dalej...

- A czyli to już było w samym wyroku?

W samym wyroku było już, już tam była ta wielkoduszność,
no bo to wiedzieli, że to wszystko jest, panie, lipa, tak.

- Dziękuję panu bardzo.

Produkcja "sidolek"

Na terenie Okręgu Wileńskiego, ściślej w samym Wilnie w 1942 roku zajmował się Lech, poprzednio Sfibks/inż. Kazimierz Pietraszkiewicz/dziedziną dozobrajania, ściślej produkcją granatów, na którą specjalny kładziono nacisk. Z dobraną grupą pracowników wyprodukowano tak zwany granat uderzeniowy. Jak sama nazwa wskazuje, granatem należało stuknąć o twardy przedmiot, by zapalić kapiszon, ten zaś kawałek odmierzonego kontu, umieszczonego w spłonce. Gdy lont się wypalił, następował wybuch granatu. Elementy składowe tego granatu produkowano indywidualnie w warsztatach, z tąd koszt tego granatu był wysoki i produkcja bardzo powolna. Ogromny wysiłek tych ludzi i ofiarną pracę przerwał zakaz komendata okręgu Wilka z powodu śmiertelnego wypadku z gróbnami tego granatu. Szczegółowo tę pracę i ludzi opisze xxx sam Lech, jako bezpośredni kierownik i przełożony tej komórki. Warszawa produkowała bardzo udany granat, zwany sidolką, gdyż zmontowany był w butelce od sidolu/powszechnie znany i używany do czyszczenia metalu płyn/Komenda okręgu została powiadomiona, by wytypowała człowieka i przysłała go na kurs produkcji tych granatów do Warszawy. Okręg powiadomił, że wyśle takiego kandydata. Targi, poszukiwanie odpowiedniej jednostki trwały dość długo. Kandydat, którego ja zaproponowałem z grupy dywersyjnej, o ile pamiętam o pseudonimie Tolek, znajomy student chemii, z jakichś tam powodów odmówił się od wyjazdu. Po jakimś czasie wysunięto nowego kandydata kapitana saperów/ani pseudonimu ani nazwiska nie pamiętam/. W międzyczasie nasz przerzut przywiózł maszyny do ich produkcji, oraz pełną dokumentację techniczną na malutkich fotografiach. Maszyny wraz z materiałem zostały odrazu przekazane do komórki produkcyjnej, ściśle na ich melinę na przedmieściu. Ciężarówka wprost z Warszawy przysłała do garażu firmy transportowej Dr. Richarda Mett na ulicy Objazdowej. Z tamtąd Czarny/Romuald Wróblewski/po obsadzeniu ciężarówki przez uzbrojonych chłopców jako osłony, pojechał o zroku w okolice ulicy Konarskiego. Tylko na moment zatrzymał się przy braniu jakiegoś samotnego domku, brany się odra-

zu otwarta, beczki paczki zostały spuszczone po przygotowanych deskach, bramę zamknięto i samochód odjechał. Wewnątrz cały ten trefny towar z miejsca powędrował do uprzednio przygotowanego dołu i został zasypany. Całą tę akcję obserwowałem i byłem zachwycony sprawnością organizacji, nie zajęła nawet 5 minut momentu zamaskowania zasypanego dołu. O jednym tylko zapomniano, co potem sprawiło wiele kłopotów. Maszyny były opakowane prowizorycznie, jak do samochodowego przewozu, a nie zakopania w ziemi - niektóre części dobrze zardzewiały. Tymczasem wytypowany saper przygotowywał się do wyjazdu, przygotowywano mu już w legalizacji dokumenty na wyjazd do Warszawy. Z pośredniej relacji/kpt. Stefana Czernika, szefa łączności radiowej/dowiedziałem się, że przy ucieczce na Antokolu został ranny i aresztowany przez gestapo. To był rok 43, chyba wrzesień. W styczniu 44 roku zobaczyłem go przez okno z podwórka więziennego, gdy sam się tam znalazłem/na Łukiszkach/. Z celi na III piętrze zawołał Bolesław i wyciągnął ręce przez kraty ściskając je mocno razem na znak powitania i pożegnania. Prowadzono mnie jako chorego, więc zdążył jeszcze spytać, na co choruję. Dalejszych jego losów nie znam. W momencie jego aresztowania znajdowałem się w Warszawie, między innymi miałem uprzedzić o jego przyjeździe. Wilk był również w tym czasie w Warszawie. Ludwik /ppłk. Lubomir Krzeszowski - z-pca Wilka/ i Sławek/mjr. Teodor Cetys, wówczas szef III-go oddziału sztabu okręgu/, by przyspieszyć i tak opóźnioną sprawę, przysłali mi radiotelegram via Londyn/taka wówczas była łączność Wilna z Warszawą/, bym zrobił kurs produkcji granatów. Wpadłem więc w tę imprezę zupełnie przypadkowo i ponieważ miałem na to bardzo mało czasu, więc kurs trwał niewspółmiernie krótko do swojej wagi.

O godzinie 9-tej zgłosiłem się pod wskazany adres z odpowiednim hasłem, czekał na mnie sam konstruktor tego granatu, bardzo miły pan w wieku pod 30-tkę, z zawodu inżynier, a w organizacji ppłm. czasu wojny, jak i ja. Na Pradze zobaczyłem produkcję odlewów zapalników /obudowy/ ołowianych. W samej Warszawie produkcję części i montaż zapalnika ściśki prochowej. Wąskotorówką z pod mostu Poniatowskiego pojechaliśmy za miasto, by zobaczyć produkcję prochu na ścieżki prochowe w zapalniku. Robił to jakiś Żyd, chemik, starszy człowiek, którego tytułowano profesorem, także i ukrywał się. Znowu w centrum oglądałem montaż całego zapalnika i już

z paczką ze stoma zapalnikami udaliśmy się na próby. Był to jakiś sklepik w centrum miasta, nie trudno było się domyśleć, że cały ten handlowy interes to tylko listek figowy dla konspiracyjnej roboty. Pułki były prawie puste, towar - galanteria porozrzucany tylko dla oka. Za sklepikiem było wejście do piwnicy, gdzie nas od razu sprzedawca zaprowadził. Sama piwnica również pusta, jedynie na środku sterczała pryzma czarnego piasku. Sprzedawca z moim instruktorem dobrze się znali. Z piasku wyciągnęli żeliwną oprawę do wkręcania zapalników. Instruktor wyjął stoper do mierzenia czasu. Pierwsze zapalniki wkręcał sprzedawca, odkręcił nakrętkę i wyszarpnął sznurek, potem szybko całą osłonę przysypał piaskiem. Głucha eksplozja i wstrząs piasku były końcowym efektem. Instruktor bardzo dokładnie mierzył czas. Całą setkę bez tych pierwszych pokazowych odstrzelałem już sam. Z reguły 10 procent wyprodukowanych zapalników należało odstrzelać dla kontroli czasu. Jeżeli czas był niższy dopuszczalnego, cała partia została odrzucona. Nie pamiętam, by jakiś zapalnik nie odpalił, czas był dobry. Potem dowiedziałem się, że niewypały były kilkakrotnie większe wśród granatów, wyprodukowanych przed wojną. Była godzina druga, gdy wyszliśmy ze sklepu. Razem poszliśmy do baru na obiad, podczas którego dowiedziałem się szczegółów organizacji produkcji, wysokości opłat za wyprodukowanie poszczególnych elementów granatu i zapewnił, gdyż praca była akordowa, płaciło się za wyprodukowane sztuki i przyjęte przez kontrolę. Dla ułatwienia nam produkcji, obiecał pomoc nam przez dostarczenie detonatorów wzamian za dostarczony trotyl. Obiecałem dostarczyć go w kilku kilogramach/potrzebny był jeden gram na jeden detonator/. Również proch na ścieżki mieliśmy dostać gotowy. To nam ogromnie upraszczało produkcję. Odpadała trudna ^{wykonanie} produkcja tutek na detonatory i laboratorium chemiczne dla prochu. Również materiał wybuchowy, szedyt mieliśmy dostawać gotowy, w dużej ilości już go dostaliśmy. Ze względów konspiracyjnych bardzo ważne było produkowanie poszczególnych detali oddzielnie i w różnych miejscach. Cały ten arcykrótki kurs dawał pojęcie, jak należało taką robotę zorganizować - potrzebne są do tego trzy elementy: ludzie, lokale i materiały. Ja serdecznie podziękowałem konstruktorowi za wiadomości, życzliwe podejście i konkretną pomoc. On życzył szybkiego zorganizowania produkcji

granatów najlepszej jakości i szczęśliwego powrotu do Wilna. Już w drodze układałem sobie listę ludzi, których przerzucę do produkcji. Jakk już wspominałem, pewien zespół już pracował i posiadał swą swoje lokale. Do nich należał Lech /inż. Kazimierz Pietraszkiewicz/ jako szef całości produkcji. Był dobrym organizatorem, pracownikiem wyjątkowo ofiarnym i w pracę organizacyjną dobrze już wgrzyziony. Kierownikiem technicznym był Feniks /inż. chemik por. zaw. Zygmunt Sajdak/. Dokumentacja techniczna również znajdowała się już na miejscu w postaci malutkich zdjęć rysunków technicznych. Z tymi dwoma przede wszystkim ludźmi omówiłem nową produkcję robiąc nacisk na jakk możliwie największe rozczłonkowanie produkcji elementów składowych i to wdrażając w dużej seryjnej ilości. Zainteresowałem tą sprawą sporo konspiracyjnych kolegów jak: Żmudzina/Edwarda Nowosielskiego/, Wrzos i Hańczę/Józefa i Stanisława Kafarskie/, Leszka Malinowskiego z księgarni Kiewlicza i ii. To samo robił Lech i Feniks. W rezultacie tej akcji bardzo szybko został uruchomiony punkt odlewu korpusów zapalników na ulicy Tatarskiej, zajęło się tą sprawą dwóch ślusarzy we własnym warsztacie, nazwisk ani pseudonimów nie pamiętam. Przez Jana/Józefa Czernichowskiego/ ulokowaliśmy produkcję jednego detalu na zał. Bernardyńskim w warsztatach metalowych Kiewlicza. Bardzo cennym nabytkiem wówczas był właściciel sklepu i wasztatu na ulicy Wileńskiej pan S. Miał on kontakty w warsztatach metalowych z zakł. kolejowych, gdzie było możliwe wykonanie precyzyjnych sztanc. Same butelki na "sidol" chcieliśmy zamówić oficjalnie w jakimś prywatnym warsztacie, nikt się do tego nie kwapił, dziwili się jedynie, dlaczego ja się uparłem ten "sidol" sprzedawać w butelkach blaszanych, których produkcja nastroczała tyle trudności, czy nie łatwiej i taniej to zrobić w butelkach szklanych. Tłumaczyłem im, że chodzi o to, by towar miał przedwojenne opakowanie. Jeden z tych rozmowców jednak dokombinował się, na co ni są potrzebne te zakręcane butelki, był to Polak, pewnie również gdzieś tam zaangażowany. Najwięcej w tej produkcji nastroczała ta zakrętka na gwałt butelki. Nachodziłem w tej sprawie pana S. i zamęczałem o sztancę a potem o masowe produkowanie ich. Pamiętam, że były trudności w dostaniu na to odpowiedniej stali, gdyż ta która była do dyspozycji, była zbyt twarda i pękła. Same butelki montował prywatny warsztat na ulicy Ostrobramskiej mechanik lotniczy, który założył sobie tam warsztat mechaniczny. Był to człowiek o wyjątkowej inwencji.

Widziałem, jak montował maszyny do wycinania kopert i ich klejenia, pracowały przy tym nasze kurierki, gdy odczuwał się dotkliwy brak pluskiewek na rynku, porobił sobie sztance i masowo klepał je, to samo było z gilzami do papierosów. Zawsze było u niego pełno starych maszyn, do których dorabiał części i uruchamiał. U niego wyszperałem prasę do wycinania rękawiczek ze skóry, którą zarekwirewałem do odbijania "Niepodległości". Nie było więc problemu robienia róbienie butelek metalowych, gdy garełka i nakrętki były już gotowe. Jednym z elementów zapalnika była zwykła podkładka metalowa, taka, jakiej się używa pod nakrętki do śrub. Podjął się je zrobić warsztat Kiewlicza na ul. zaułku Bernardyńskim. Ile razy tam poszedłem zawsze kierownik warsztatu zapewniał mnie, że będzie zamówienie wykonane i nic nie robił. Doszło do tego, że wszystkie problemy trudne w wykonaniu części składowych granatu były rozwiązane i masowo produkowane, a tego drobiazgu nie można się było doprosić. Powiedziałem, że sprawę przekażę wyżej i zagroziłem sądem wojennym za nie wykonanie zadania podjętego. Po moim odejściu kierownik poszedł do głównego księgowego, Józefa Czernichowskiego, pseudonim Jan, który pracował ze mną. Opowiedział mu o całym incydencie ze mną i spytał, co mu za to mogą zrobić. Jan oczywiście wiedział o tym zamówieniu i spokojnie powiedział: "gdy piasną pana dla przykładu, to inni będą wykonywali bez wahania." Na drugi dzień rano całe zamówienie było wykonane. Feniks zajął się montażem produkcji samych zapalników ciernych - najważniejszą elementem była masa zapalająca, w którą wklejano sznurek. Produkcję tego ulokował na Antokolu, w lokalu zwanym "Pustynią". Przez Wrzosa /Józefę Kafarską/ otrzymałem kontakt do dwóch łączniczek terenowych na Nowym Świecie. Lokal ten nazwaliśmy "Szkłaną Górą", gdyż w ziemi po oblodzonym i kruszym stromym chodniku trudno było do niego dojść. Tam dostarczało się spłonki, odlewy korpusów, zapalniki, proch i inne elementy, które przy pomocy odpowiednich maszyn montowało się w jedną całość. Ten zapalnik wkręcało się do butelki, wypełnionej szedytem/mieszaniną chloranu potasu z parafiną/. 10% tych zapalników należało odstrzelać dla sprawdzenia czasu. Feniks te próby bardzo uprościł, nie wkręcał do osłony, a wprost po wyszarpięciu sznurka sam zapalnik natychmiast zagrzebywał w piasku. Bez przesady muszę stwierdzić, że zapalniki te miały wyjątkowo dokładny czas, lepszy od tego, jaki miały zapalniki

które odstrzelalem w Warszawie. Cały sekret leżał w dokładnym montażu, specjalnie zaś w wypełnianiu i ubijaniu ścieżki prochowej, a od tego Helenki były mistrzami. Jedną z nich, starszą pracowni, Helenka Karło, później Żeromska, druga Helenka Kwik. Szklana Góra z Helenkami była jednym z podstawowych węzłów, dobrze rozwiązanych, w produkcji granatów. Wybuch tysiąca zapalników spalił skórę z całej twarzy Helence Karło, zagrażał oczom - dobrze zaopatrzona apteczka ze świetnymi niemieckimi maściami przeciwoparzeniowymi oraz natychmiastowa pomoc lekarska sprawiła to, że po całym tym poparzeniu śladu nie zostało. Przede wszystkim za tę odważną i wyjątkowo ofiarną pracę obydwie Helenki zostały odznaczone Krzyżami Walecznych/poraz pierwszy. Dzięki wysiłkowi całego zespołu ludzi, i wyjątkowemu naciskowi na uruchomienie tej produkcji już w miesiąc po moim powrocie z Warszawy pierwsze granaty były gotowe. Duży wpływ na to miało dostarczenie przez Warszawę gotowych spłonek i prochu. W początkach grudnia 43-go roku pierwsze granaty były gotowe. Próby zapalników wypadły bardzo pomyślnie, trzeba było zrobić próbę z całym ładunkiem. Umówiłem się ze Sławkiem/Teodor Cetya/, szefem trzeciego oddziału sztabu okręgu, Lechem/Kazimierz Pietraszkiewicz/ kierownik całej produkcji i innych komórek, na wyjazd w okolice Zielonych Jezior, by w tamtych lasach tych prób dokonać. Osobówkę miałem dostać od Ziuka Józef Hajdarowicz/wraz z kierowcą. W oznaczonym terminie i miejscu wraz z granatami, sporą partią zapalników, stoperami i parabelkami zupełnie nowymi, które akurat otrzymaliśmy z Warszawy, wsiedliśmy do auta osobowego i pojechaliśmy w kierunku Zielonych Jezior. Połobala mi się ta okolica i przed wojną byłem tam wielokrotnie w lecie, jednak zupełnie inaczej wyglądało to w zimie. Daleko w las trudno było przez śniegi się przedzierać, bliżej drogi wszędzie osiedla. Zgodnie stwierdziliśmy, że tego rodzaju eksperymentów w tych warunkach dokonywać nie wolno. W nie wesołym nastroju wracaliśmy spowrotem. Droga prowadziła przez lasy, Sławek podsuwał myśl, by auto zatrzymać, odskoczyć trochę w las, zrobić próby i odjechać. Zgodziliśmy się na to. Kierowca nie był wtajemniczony, w jakich nieczystych sprawach nas wiózł, więc uprzedziliśmy go jedynie, że będą wybuchy. Po oddaleniu się jakieś sto metrów od szosy znaleźliśmy głęboki parów z bagnem, miejsce wymarzone. Najpierw odstrzelaliśmy kilkanaście zapalników kontrolując czas stoperami - wypadł bardzo dobrze. Potem rozdzieliliśmy między sobą granaty, wypadło po kilka na każdego, rozlokowaliśmy się w bezpiecznej odległości jeden od drugiego i na sygnał zaczęliśmy je rzucać z góry do bagna.

Może sprawił to układ tej dolinki głębokiej, że detonacje były wyjątkowo silne, fontanny błota leciały na wierzchołki sosen, byłem zachwycony efektem, zapomniałem liczyć wybuchy, koledzy to zrobili. Okazało się, że wszystkie eksplodowały. W drodze powrotnej Sławek zaproponował wypróbowanie nowych parabelek, ta próba nie wypadła najlepiej. Pierwsze strzały wypadły bez pułka, pod koniec magazynku, gdy sprężyna już słabo działała, niektóre się zacinały.

Ta bezładna strzelanina wystraszyła kierowcę, wziął ją za jakąś potyczkę i jak sam opowiadał miał wielką ochotę drapnąć z tamtąd na pewną odległość. O wybuchach był uprzedzony ale nie o pistoletowej strzelaninie. Zadowolonia z udanej próby z lekkim sercem wracaliśmy do Wilna. I chyba na tym kończyła się moja interwencja w produkcję siódek. Poprowadził ją Feniks z całym sztabem komórek i ludzi, była to ofiarna, żmudna i niebezpieczna praca. Owocem jej były granaty wyjątkowo cenione przez żołnierzy naszych leśnych oddziałów. W dalszym ciągu zajmowały mnie jedynie surowce na ich produkcję.

W Warszawie zapoznałem się również z zasadami produkcji butelek zapalających. Chloran potasu/sól Bertoleta, pospolicie nazywana kalichlorkiem/polana kwasem siarkowym wybucha. Dla osłabienia wybuchu dodaje się do niej utartego cókru, mniej więcej 1/3 na objętość, wówczas mieszanina przy zetknięciu się z kwasem siarkowym pali się bardzo intensywnym płomieniem, ale wybucha. To zjawisko chemiczne zostało wykorzystane w najrozmaitszych typach zapalników i czasowych i natychmiastowych. Jeżeli mieszaninę tej soli z cukrem oddzielić błoną od kwasu, to wybuch nastąpi dopiero po przegryzieniu przez kwas tej błony. W Wilnie produkowaliśmy wieczne pióra zapalające. W dolnej części pióra był umieszczony ładunek soli chloranowej z cukrem, w górnej ampulka z kwasem siarkowym. Przez przykręcenie górnej części pióra ampulka z kwasem pękła i kwas zaczynał działać na błonę gumową oddzielającą mieszaninę ~~wybuchową~~ zapalającą. Czas trwania tego procesu wynosił około godziny szasz w zależności od temperatury otoczenia. Gdy temperatura spadła niżej pięciu stopni, zapalnik praktycznie nie działał, o tym fakcie dowiedzieliśmy się później z Warszawy. Z tą piórną pierwsze niepowodzenia w użyciu tych zapalników. Takim właśnie piórem w 43 roku w lecie została zapalona baza paliwa w okolicy ulicy Konarskiego. Kazimierz Rutkowski, pseudonim nie pamiętam, członek grupy dywersyjnej Drobinki/Kedyw/, ubrany w roboczy kombinезon, wszedł na teren bazy i podrzucił

i podrzucił dwa takie pióra: jedno przy rozlewni benzyny, drugie pozostawił w magazynie ze smarami. Potem wyszedł i z dużej odległości wraz z kolegami oczekiwał na efekt. Czas w takich wypadkach płynie wyjątkowo powoli, naszywają się wątpliwości, czy zapalnik zadziała i wreszcie słup szarego dymu i okrzyk radości. W kilka dni później w mieszkaniu dowódcy tej grupy Drobinki/Włodzimierz & Leśniewski/urządzono małą uroczystość. W gronie kolegów oblewano ten udany fajerwerk na niemieckiej benzynie. Już w 42 roku grupa ta miała laboratorium - wytwórnię takich zapalników. Prowadził ją specjalista chemik Kazimierz Chmielewski, pseudonimu nie pamiętam. Zapalniki tego typu czasowe montowali do butelek z benzyną. Potem butelki takie wsuwali przez kolejarzy do wagonów towarowych ze słomą czy sianem. Dużo niemieckich transportów wojskowych szło właśnie z takim opakowaniem. Kontrola działania poszczególnych wypadków była dość trudna, gdyż wagon taki zapalał się gdzieś w okolicy Dynaburga, czy Rudziszek. Przychodziły tylko sporadyczne wiadomości, że na trasie w transportach powstały pożary. Na samym początku użycia tych zapalających się butelek był nieprzyjemny wypadek. Dwóch członków grupy Drobinki na dworcu towarowym doznało poparzeń przez nieostrożne rozbicie się butelki i zapalenie. Z trudem udało im się wymknąć z tamąd. To gano zresztą dotyczy i piór zapalających. Zawada/Jerzy Urbaniewicz/pospolicie kominiarczykiem zwany, gdyż takim zwodem się trudnił, podłożył je między beczkami z paliwem. Nie zapaliły się gdyż temperatura była niższa od 5 stopni. Zostały znalezione i Zawada musiał na jakiś czas opuścić Wilno. Perypetie tego wydarzenia opisał bardzo dowcipnie w kwietniowej 'Kulturze' z 1969 r. w artykule p.t. ~~xxx~~ 'DWA STOPNIE CELZIUSZA: Wracam do butelek zapalających, które służyły do rzucania i przy rozbiciu miały się zapalić. Do półlitrowej butelki z benzyną dodawało się 20 cm sześciennych kwasu siarkowego, szczelnie zamykało i korek aż oblewano parafiną. Na butelce umieszczano się nalepkę, na której był naklejony proszek soli chloranowej z cukrem. Przy rozbiciu butelki kwas dostawał się do soli i następowało zapalenie się benzyny. Ponieważ te butelki miały być produkowane w dużej masie, więc trzeba było je dostać w dużej ilości. Wileński browar w tym czasie produkował dla frontu jakąś wodę mineralną w ogromnych ilościach. Kierownikiem tego browaru był nasz człowiek, o ile pamiętam, kontakt do niego dostawałem przez tego dobrego znajomego, również naszego człowieka, Zygmunta Edelwłona. Poszedłem na teren zakładu, spotkałem się z dyrektorem,

który wywołał u mnie ogromne zdziwienie swym młodym wiekiem. Opro-
wadził mnie po zakładzie. Prosto na hali produkcyjnej wziąłem za
jego radą kilka butelek i rozbijałem je o podłogę, chciałem sprawdzić,
czy nie są zbyt silne. Były bardzo kruche, cienkościennie. Potem już nasza
legalizacja przygotowała odpowiednie dokumenty i również nasza cięż-
arówka wywozła ich z fabryki tyle, ile można na nią było wła-
dować, na się rozumieć dla armii niemieckiej. Z benzyną większej
trudności nie miałem. Gorzej było z chloranem potasu, posiadały go
apteki. Dobrze mi znany Kostrowicki/ani imienia ani pseudonimu nie
pamiętam/ten sam, który później zginął ostrzeliwując się Niemcom na
ulicy Zygmuntowskiej, zaprowadził mnie do kierownika apteki na ulicy
Wileńskiej i kazał mu dać mi wszystko, czego tylko będę potrzebował,
i wyszedł. Kierownikowi powiedziałem, że bardzo potrzebuję soli Berto-
leta. Nic nie mówiąc, zaprowadził mnie na zaplecze do magazynu, wy-
jął dwukilową paczkę tej soli i wręczył mi. Chciałem za nią za-
płacić i spytałem ile kosztuje, wówczas bez słowa wypchnął mnie za
drzwi. W późniejszym okresie wielokrotnie po różne rzeczy do niego
przychodziłem, zawsze bez słowa dał i odprawił w podobny sposób.
Raz tylko powiedział do mnie jedno zdanie: szkoda tego człowieka,
miał na myśli Kostrowickiego po jego tragicznej śmierci. Reszta
potrzebnych chemikaliów nie przedstawiała już większej trudności
w ich zdobyciu. Największą trudność stanowił lokal na produkcję
tego typu. Żaden z posiadanych lokali na to się nie nadawał. Na
rogu ulicy Mickiewicza i Sniadeckich w suterynie była mleczarnia
Hejberów. Obecnie dwóch braci z siostrą mieli tam małą prywatną
jadłodajnię - nasz lokal spotkał i punkt przerzutowy dla nie-
wielkich ładunków. Cała ta trójka tych młodych ludzi pracowała u nas.
Zwróciłem się do nich o pomoc w znalezieniu takiego lokalu. Mie-
szkali niedaleko, zaproponowali komórkę gospodarczą w podwórzu
ich mieszkania. Obejrzałem to i zdecydowałem się w jedną noc wy-
produkować 200 sztuk butelek. Zmówiłem na szefa produkcji naszego
chemika z ulicy Trockiej. Zrobił kurs szewski i tymżemiosłem
w czasie wojny są z żoną zajmował. Poza tym poprosiłem Szarego,
troje Hejberów i jeszcze ktoś. Cały dzień zwoziłem naszym transportem
materiały: beczkę dwustalitrową benzyny i dwieście butelek wody
przywozła ciężarówka, do tego trzeba było kwas, cukier, stearynę
maszynką elektryczną do grzania i topienia stearyny, klej, nalepki
specjalnie przygotowane przez Piotra, kierownika naszej Kuźni.
Nalepka była reklamowa, z kolorowymi kwiatkami i napisem P Płyn

sadowniczy. Pomieszczenie było małe, więc trzeba było wszystko odpowiednio porozstawiać, przygotować stół roboczy, by można zaczynać robotę. Gdy już wszystko było gotowe, ludzie zgromadzeni i ja myślałem, że po kałodziennej bieganiu pójdę odpocząć, chemik, który miał kierować całą robotą, powiedział, że po godzinie policyjnej nie może pozostać, gdyż nie uprzedził żony - wyszedł. Również Szaty wysłoczył do domu, mieszkał niedaleko na ulicy Garbarskiej. Nie pozostało mi nic innego, jak zdjąć marynarkę i zabrać się do roboty. Ustawiłem ludzi do taśmowej roboty: wylewanie wody z butelek, napełnianie benzyną, wlewanie kwasu siarkowego, korkowanie i parafinowanie. To ostatnie robiło się przez zanurzenie główki butelki do naczynia z roztopioną parafiną. Sam posypywałem na klej nalepki proszkiem zapalającym i przyklejałem do butelek. Po wyschnięciu i te nalepki były parafinowane pędzlem. Bardzo szybko powrócił Szary już po godzinie milicyjnej, przyniósł sporo gotowych kanapek - jakie one wówczas smaczne były i jak nam się humory po nich poprawiły. Robota szła raźno, gotowe butelki płynęły jakby z taśmy do pudełek drewnianych, tych samych, w których były przywiezione. Początkowo gawędziliśmy przy tym potem już w ciszy każdy robił swoje. Około godziny trzeciej nad ranem wysiadłem, prosto zasnąłem na stojąco. Zamiast nalepek zaczęłam posypywać proszkiem zapalającym parafiną w naczyniu. Proszek tonął i na dnie naczynia zapalał się. Widocznie przy maczaniu korków trochę ciężkiego kwasu dostało się do parafiny. Nawet we śnie zorientowałem się, że coś tu nie dobrego się dzieje, więc pędzlem starałem się te ogniki rozsmazywać. Dopiero ktoś szarpnął mnie za ramię i krzyknął: co pan robi! ~~Zamiast~~ Wówczas się obudziłem. Sytuacja była nieciekawa, rozlewa się benzyna w powietrzu sporo jej, gdyż pomieszczenie małe, wybuchnąć mogła każdej chwili, otrzeźwiałem momentalnie. Dalej już robota płynęła bez zakłóceń do końca. Około godziny piątej robiliśmy generalne sprzątnięcie i tutaj nowa niespodzianka. Gospodarze zdecydowanie oświadczyli, że gotowy produkt w tym pomieszczeniu nie może pozostać, gdyż schowka żadnego nie ma i wpaść można przy banalnym poszukiwaniu spekulacji, czy bimbru. Przynależało, że odrzuć wywoz. Latwo było przyrzekać, z wykonaniem było trochę trudniej. Gdzieś około godziny piątej trzydzięci wyszedłem na ulicę, były zupełnie puste. Zmęczony błądziłem po nich i myślałem, jak wyrwać z tej trudnej sytuacji. Tak doszedłem do ulicy Świętojańskiej. Tutaj mieszkał mój dobry znajomy kierownik z firmy Jet, nasz człowiek. Zadzwoniłem do mieszkania, jeszcze spał. Nie była to odpowie-

dnia pora na składanie wizyt, ale kto się w tym czasie przy takich problemach z tym liczył. Hipolit Piotrowski był członkiem komórki "Przerzut", gazikiem, na którym jeździł, ratował nas już z niejednej opresji. Wyjaśniłem mu sytuację, w jakiej się znalazłem i bez sprzeciwu ubrał się i od razu udaliśmy się do garażu na ulicy Objazdową. Samochodem podjechaliśmy na miejsce produkcji. Na dość ciasnym podwórku tyłem podjechaliśmy pod same drzwi komórki. Zaczęło się ładowanie skrzynek na samochód. Tutaj dopiero spostrzegłem się, jak słabe były te drewniane pudełka od wody do picia. Ostatecznie w wypadku rozbicia nie wielka strata. Obecnie rozbicie choćby jednej butelki groziło pełną katastrofą, pożarem wszystkich, samochodu i jeszcze sąsiednich obiektów. Z największą ostrożnością ładowaliśmy ten płyn sadowniczy na samochód. Po załadowaniu, prosiłem Piotrowskiego, by jechał jak z dynamitem, gdyby w pudle samochodu powstał pożar, to należy rzucić auto i wiać. Jechał ostrożnie, zakręty brał bardzo powoli, nie było z tym trudności, gdyż ruchu na ulicach prawie jeszcze nie było. Narazie póki znajdę dla nich odpowiednie pomieszczenie miały pozostać na samochodzie w garażu. Piotrowski znalazł inne wyjście. Garaż miał kanał, w którego bocznych ścianach znajdowały się dość obzerne magazyny na benzynę, smary i części zapasowe do samochodu. Tam właśnie umieściliśmy osiem skrzynek po 25 butelek każda i odpowiednio zamaskowaliśmy. Miały być potem przewiezione w odpowiednie miejsce, ale tym już zajął się z urzędu Szary/Mariann Czechowski/. Butelki na próbach okazały się niezawodne, ale bardzo niebezpieczne przy wszelkiego rodzaju transporcie, czy przenoszeniu, dlatego więcej tego typu butelek się nie produkowało. Zasada pozostała ta sama, jedynie nalepkę zapalającą nosiło się oddzielnie w ampułce razem z aptekarską gumką, którą się przyczepiało jak receptę do butelki tuż przed użyciem. Feniks ulokował ich produkcję na ulicy Antokolskiej, w lokalu, zwanym "pustynią". Pożar tego lokalu, spowodowany wybuchem około pięciu tysięcy nalepek, dokładnie opisuje szef produkcji, wyżej wspomniany Feniks.

Do tej kategorii wspomnień z dziedziny produkcji dorzucę jeszcze jedno zdarzenie z wiosny 44 roku. Z materiałów warszawskich i zapalników tarcowych Feniks wyprodukował bombę termitową, chyba wagi jednego kilograma, chodziło o wypróbowanie jej. Umówiłem się z Lechem i Feniksem, że na próbę tę wyskoczymy samochodem. Gdy sobie przypominałem o spotkaniu, na zamówienie samochodu było

już zbyt późno. Zaproponowałem, że wyjdziemy gdzieś na puste przedmieście, zrobimy próby i wyniesiemy się. Byliśmy w okolicy Nowego Świata i tam zawędrowaliśmy na duży cmentarz prawosławny. Miejsce wymarzone, nikogo nie było w pobliżu. Najpierw wyrzuciliśmy dwie butelki zapalające, paliły się wspaniale. Potem rzuciliśmy zapalnik do sidolek dla sprawdzenia czasu, potem jeszcze jakieś kombinacje wybuchowo zapalające. Na koniec Feniks wyjął z teczki bombę termitową i rzucił na uprzednio upatrzoną płytę żeliwną z jakiegoś nagrobka. Efekt niesamowity: oślepiający blask światła, biały ślup dymu i w rezultacie płyta przetopiona na wylot. Zadowoleni z udanych prób, spokojnie odeszliśmy. Potem dopiero dowiedziałem się, że zaraz po naszym oddaleniu się cmentarz został otoczony przez oddział milicji litewskiej, widocznie ktoś ją zaalarmował o eksperymentach. Natknęli się jedynie na chłopca, który tą trasą udał się do oddziału partyzanckiego Szczerbca i dobrze musiał się odstrzeliwać, by nie wpadć im w łapy.

Po wyspie lokalu 'Kuzni' na Pióromoncie w domu Hanki Nowickiej, ona sama wraz ze swoją siostrą przeniosły się również do produkcji.

" SZKLANA GORA "

wspomnienia z pracy konspiracyjnej " Helenki " - Heleny Żeromskiej

W okresie okupacji mieszkałam w Wilnie przy zaułku Śniegowym Nr. 8, wspólnie ze swą koleżanką Heleną Kwik. Zajmowałyśmy dwa pokoje z kuchnią. Właścicielka domu wdowa Anna Borysowska była dobrą Polką i przy każdej okazji wyrażała swój polski patriotyzm, sprzyjała nam, okazywała wiele sympatii i serdeczności. W częstych z nią rozmowach stwierdzała, że Niemcy wojnę przegrają a podbite narody odzyskają wolność i niepodległość, mocno wierzyła w Polskę, była samotną, uważała nas za swoje - można tak powiedzieć - przybrane córki. Pracowałam u Niemców w Wilnie przy ul. Zawalnej w wojskowym magazynie mundurowym, a koleżanka Helena Kwik - w sklepie spożywczym. Praca w tym czasie stała się koniecznością i stanowiła niejako tarczę obronną przed wywozem na roboty w głąb Niemiec. Wilno znałam dokładnie, ponieważ tu przed wybuchem wojny uczyłam się, miałam też dość rozległe znajomości wśród młodzieży i starszych. Znana z głębokiego patriotyzmu wileńska młodzież rwała się do czynu i tam gdzie tylko było to możliwe podkreślała swój patriotyczny charakter.

Często nie mogąc pohamować swojej energii i nienawiści do okupanta oraz do władz litewskich, znanych ze swego szowinizmu i wrogości do Polaków, wchodziła w konflikty objawiające się w wyzywaniu litewskich policjantów - gałakutasami, podklejaniu mini wiązek siana pod wizerunki godła państwowego Litwinów - pogoni, widniejącej na tablicach urzędów, co miało oznaczać " podkarmianie głodnej litewskiej kobyłki ". Wrogi stosunek Litwinów do Polaków, pogłębiał nienawiść jednych do drugich, rodziła się więc skryta walka, zaczęły się tworzyć organizacje konspiracyjne do walki z okupantem, zaczynał działać polski ruch podziemny kierowany przez doświadczonych wojskowych byłych oficerów WP. Pierwsze kontakty i zaangażowanie się do konspiracji nawiązałam z p. Rychter Szymańską. Początkowa działalność polegała na przenoszeniu i kolportowaniu - wśród zaufanych Polaków prasy konspiracyjnej i ulotek o patriotycznych hasłach. Wiosną 1942 zaczęłam spełniać rolę kuriera na trasie Wilno - Dukszty. Szlak ten jak również same Dukszty i okolice znałam dokładnie ponieważ tam w wsi Gajdy urodziłam się i tam mieszkali moi najbliżsi. Podróż odbywałam pociągami kolejowymi, w różnych okolicznościach obfitujących w pospolite przygody, a czasem i niebezpieczne. Moją kurierską pocztę stanowiły egzemplarze konspiracyjnej gazetki " Niepodległość ", oraz meldunki i rozkazy władz konspiracyjnych. Docelowy punkt kontaktowy znajdował się na stacji Dukszty, a osobowo stanowił go zawiadowca tej stacji - Rodzewicz, on przyjmował ode mnie paczety z Wilna

i wręcała swoją " pocztę " dla Wilna. Moją konspiracyjną przełożoną była Rychter & Szymańska, ona wyposażyła mnie w podróż do Dukszt, ja też doręczałam pakiety z Dukszt. Sposób w jaki przewoziłam konspiracyjną pocztę był dla mnie bardzo prosty, poprostu chowałam mniejsze pakiety w zanadrze lub też gdy były większe - do koszyka używanego powszechnie przez handlarki, a wypełnionego zwykle przedmiotami drobnego handlu. - Musiałam mieć wiele szczęścia, które mnie nigdy nie opuszczało. Może dzięki temu i własnej intuicji zawsze wychodziłam obronną ręką z różnych niebezpiecznych terapatów.

- W listopadzie^{1943 r.} skończyła się moja kurierska powinność. Dnia 28 listopada 1943 r. nawiązałam kontakt z " Wrzosaми ", tak popularnie nazywane - Stanisławę Kafarską ps. " Hańcza " i Józefę Kafarską ps. " Wrzos ". Obie bardzo uczynne, sympatyczne panie zwerbowały mnie i moją koleżankę - Helenę Kwik ps. " Ewa " do produkcji gratantów ręcznych zwanych popularnie " Sidolkami ". Ustaliłyśmy plan działania i miejsce fabrykacji, którym miało być nasze mieszkanie przy zaułku Śniegowym 8. W tym celu lokal nasz należało odpowiednio przystosować ~~do tego celu~~ i zakonspirować jakimś kryptonimem. Dom, w którym mieszkaliśmy był nieco na uboczu i na najwyższym w tej dzielnicy wznieśsieniu. ~~Wycieczka~~ Zejście do ulicy dość strome, schodziło się schodami. Zarówno schody jak i same podejście oraz całe wzgórze w zimowej porze, w okresach mrozów robiło wrażenie zlodowaciałego, stąd też przyjęliśmy, dla naszego domu kryptonim: " Szklana góra ". Mieszkanie stanowiące kuchnię od strony wejścia i dwa pokoje połączone drzwiami z mieszkaniem naszej zacnej gospodyni Anny Borysowskiej, nadawało się do prowadzenia w nim działalności konspiracyjnej, z tym, że do produkowania ręcznej broni wybuchowej jaką stanowiły granaty należało odpowiednio dostosować go i urządzić skrytki oraz prowizoryczny nierzucający się w oczy warsztat pracy. Ugodniłyśmy, że skrytki muszą być podziemne i dobrze zamaskowane - dwie, jedna do przechowywania materiałów wybuchowych oraz metalowych części, druga do gotowych już fabrykatów. W wykonaniu skrytek, które zostały zlokalizowane - jedna w kuchni pod piecem kuchennym zamaskowana blachą podpiecową, druga w pokoju również zamaskowana blachą podpiecową, ~~W wykonaniu tych skrytek~~ pomógł nam Władysław Strukowski / pseudonimu nie znam /. Po wycięciu podłóg i wykonaniu wykopów skrytki posiadały wymiary: 75 do 80 cm. głębokości, około 70 cm. długie i 50 cm. szerokie, zamaskowane jak wspomniałam wyżej - ruchomą podłogą pokrytą blachą podpiecową. Roboty przy wykonywaniu skrytek dokonałyśmy nocami. Wyniosłyśmy spore masy piasku, który został rozsypany w krzaki i miejsca najmniej widoczne. Warsztat przedstawiał zwykły drewniany stół na krzyżakach robiący wrażenie przydatnego stołu kuchennego. Stół ten został wyposażony w dwie

maszynki /wielkości średniej maszynki do mięsa/, z których jedna była wyposażona w odpowiednie mechanizmy do nabijania materiału wybuchowego do zapalników, druga służyła do skręcania. W niedługim czasie po wykonaniu wspomnianych urządzeń przystąpiłyśmy wspólnie z koleżanką "Ewą" /Heleną Kwik/ do produkcji zapalników do granatów ręcznych t.zw. "Sidolek". Uprzednio przeszłyśmy krótkie przeszkolenie: jak należy obchodzić się z materiałami wybuchowymi, oraz o samej technice produkcji zapalników. Przeszkolenia dokonał por. "Feniks" /inż. Zygmunt Sajdak/, który pełnił funkcję szefa produkcji granatów. Szczegółowych instrukcji udzielał "Lech" /Kazimierz Pietraszkiewicz/. Materiały wybuchowe były dostarczane osobiście przez "Feniksa" lub "Lecha". Materiały metalowe t.zw. korpusy granatów oraz inne potrzebne części zbierałyśmy same wykorzystując różne okazje i okoliczności. Początkowo w produkcji pomagał nam pewien mężczyzna - kolejarz, którego nazwiska ani pseudonimu nie znamy, był on wprowadzony przez "Feniksa", oraz Nula Marburzanka. Była to pomoc dorywcza, przy czym mężczyzna - kolejarz wykonywał cięższe prace obsługując maszynkę do skręcania zapalników. Główne prace wykonywałyśmy wspólnie z "Ewą". Pracowałyśmy nocami 2 - 3 razy w tygodniu, w zależności od sytuacji i sprzyjających okoliczności. Przeciętna ilość wyprodukowanych przez jedną noc zapalników wynosiła około 50 sztuk na jedną osobę - razem 100 szt. Wyprodukowane zapalniki przenosiłyśmy same pieszo na Antokol. Tę stosunkowo dość długą trasę należało przejść z zastosowaniem wszelkich środków ostrożności, toteż szłyśmy marszem "ubezpieczonym" i tak, jeśli ja spełniałam rolę niosącej, to "Ewa" znajdowała się w ubezpieczeniu i w tym celu kroczyła przodem w odległości kilkudziesięciu metrów i w razie spostrzeżenia okoliczności mogącej być niebezpieczną np. natknięcie się na patrol niemiecki lub litewski, podejrzane ruchy ludności charakteryzujące łapanki, obławy itp, wówczas "Ewa" dawała mi umówione uprzednio znaki, a ja chowałam się w najbliższej bramie, względnie zbacając z drogi zawracałam spowrotem. Role te często zmieniałymy. Może dzięki zachowaniu jak najdalej idącej ostrożności, może też zwykłemu biegowi losu i odrobinie szczęścia, ^{zawładnięciu} zawsze nasze "transporty" zapalników docierały do celu.

Już z reguły i z konieczności, po każdorazowej nocnej pracy, porządkowałyśmy swoje mieszkanie bardzo dokładnie. Wyprodukowane zapalniki i materiał wybuchowy oraz wszelkiego rodzaju materiały pomocnicze jak również i maszynki były skwapliwie chowane do skrytek, tak że po nocnej robocie nie pozostawał żaden ślad. Nasza gospodyni choć nie była wtajemniczona w produkcję śmiertelnej broni, to jednak czegoś się tam domyślała, ale nigdy nie czyniła nam żadnych uwag, a tylko okolicznościowo w czasie rozmów ostrzegała o zachowaniu

ostrożności, o niewdawaniu się z kimkolwiek, bo to szkoda młodego życia, a utracić go bardzo teraz łatwo, a przecież chyba już niedługo doczekamy się naszej wolnej Polski - mawiała nasza poczciwa gospodyni.

W pracy starałyśmy się być jak najbardziej dokładne, wszystkie czynności przy produkcji zapalników do "Sidolek" wykonywałyśmy ściśle według instrukcji "Feniksa" i "Lecha", wkładałyśmy w swą pracę maksimum wysiłku, będąc świadome, że dokładność i solidne wykonanie są podstawą powodzenia w akcjach bojowych przy użyciu granatów naszej produkcji. Czy się nam to udawało? Opinie naszych przełożonych - "Feniksa" i "Lecha" - były bardzo pochlebne. "Feniks" zwykł mawiać: "Helenki, najlepiej i najdokładniej wykonują ścieżkę prochową. One się w tym wyspecjalizowały"... Ta pochlebna ocena fachowca - szefa produkcji, mówiła sama za siebie i utwierdzała nas w przekonaniu, że powierzoną robotę wykonujemy dobrze i to właśnie była dla nas największa nagroda.

Wyprodukowane zapalniki wymagały przesuszania na wolnym powietrzu, oczywiście w zamkniętym naszym mieszkaniu. W tym celu większą ilość zapalników układałyśmy na blatach zimnego pieca kuchennego, osłoniętego zasłoną z płótna i mającego wentylacyjne ujście do komina. Tam suszyły się przez pewien ~~czas~~ okres.

Z biegiem czasu nabrałyśmy wprawy i precyzji i swoje czynności wykonywałyśmy poprostu na pamięć, często nieprzestrzegając zwykłej a koniecznej przy tego rodzaju robocie ostrożności i chyba takie - można tak nazwać lekceważenie - zemściło się na mnie.

Gdzieś około połowy maja 1944 r., po wyprodukowaniu większej ilości bo 1000 szt. zapalników, ułożyłyśmy je równomiernie na piecu kuchennym do suszenia. Koleżanka "Ewa" wyszła już do pracy, ja miałam wyjść na wykonanie pewnego powierzonego mi zadania i w związku z tym, może w pośpiechu zaczęłam porządkować i zbierać suszące się zapalinki by umieścić je w skrytce. W czasie zbierania, musiałam przez nieostrożność wywołać tracie zapalników ze sobą, co spowodowało nagły i dość potężny wychuch. Znaczna część dymu i gazów uszła przewodem kominowym, ale reszta w połączeniu z ogniem opatzyła mi twarz i wychodząc z poza zasłony wypełniła mieszkanie. Niesamowity ból, oraz świadomość dekonspiracji sprawiły utratę na moment przytomności. Na moje szczęście przybiegła natychmiast gospodyni, która udzieliła mi pomocy opatrując prowizorycznie twarz i porządkując mieszkanie. Wtedy to - dzięki temu nieszczęśliwemu wypadkowi ~~moja~~ gospodyni dowiedziała się o naszej konspiracyjnej a tak niebezpiecznej robocie. Nic nie powiedziała, starała się pomóc mi. Wykorzystałam jej życzliwość i poprosiłam by bezzwłocznie zawiadomiła "Ewę" która z kolei miała zaalarmować "Wrzosa" /S. i J. Kafarskie/.

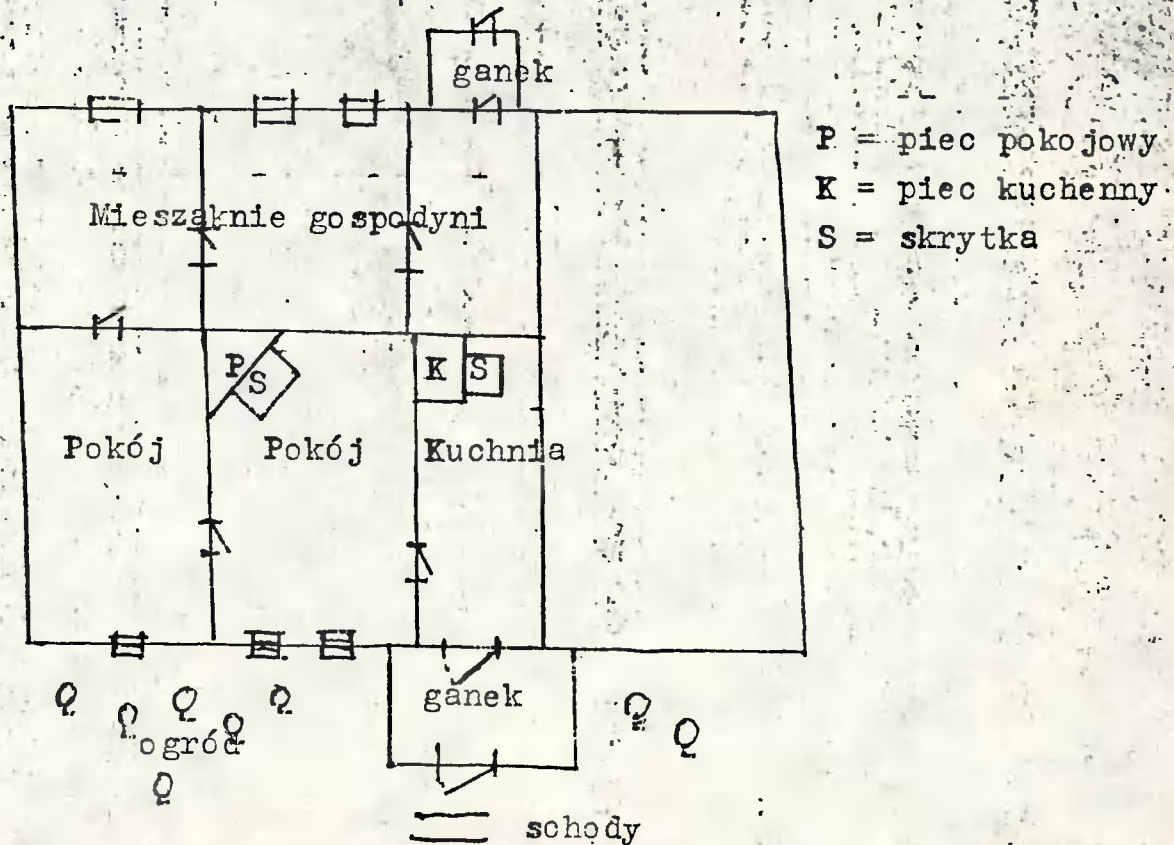
"Wrzosa" zjawily się z zaufanym lekarzem, który udzielił mi pomocy opatrując oparzoną twarz, na której ukazała się jedna ogromna rana. Lekarz udzielił mi 10-dniowego zwolnienia z pracy. Cały wypadek należało ukryć, co się nam udało, ale oparzona twarz mówiła bardzo wiele. Wspólnie z "Ewą" uradziłyśmy, że wypadek, który spowodował oparzenie twarzy miał miejsce w czasie nieostrożności przy zapalaniu maszynki naftowej t. zw. - prymusa, który zamiast naftą był napełniony benzyną. Udało się, w miejscu pracy uwierzono.

Po wybuchu zaniechano produkcji zapalników w naszym mieszkaniu, wszystkie sprzęt i pozostałe materiały zostały przeniesione do dzielnicy Antokol, gdzie prowadziłyśmy "dalszą produkcję, w domu - letniej willy położonej w lesie przy ul. Borowej. Tu produkcja granatów trwała przez cały czas aż do walk o Wilno / 6 na 7. lipca 1944 r. /

Dzisiaj po latach mogę z przyjemnością i prawdziwą satysfakcją stwierdzić, że moja praca konspiracyjna i współpraca z koleżaną "Ewą" związana z produkcją zapalników do granatów ręcznych zw. "sidolkami", mogła być prowadzona dzięki poświęceniu i patriotyzmowi, samozaparciu oraz odwadze i męstwu ludzi wierzących w Polskę, wierzących w ostateczne zwycięstwo aliantów, ludzi stanowiących zgrany kolektyw, dobrych fachowców, a ponadto konspiracja na moim odcinku pracy mogła mieć powodzenie dzięki dobrym Polakom, wspaniałym ludziom, sąsiadom "Szklanej góry".

"Helenka" - Helena Zeromska

Szkic mieszkania domu "SZKLANA GORA" przy zauł. Sniegowym 8



Z Pałski do Pałski

~~MOJE LATA CIEMNE I CIEMNE~~

1. Wrzesień 1939.

Rok 1939 zastał mnie w Kaliszu, gdzie po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Poznańskim i aplikacji referendarskiej w Urzędzie Wojewódzkim Poznańskim, pracowałem w Starostwie Powiatowym na stanowisku kierownika referatu administracyjno-prawnego. Na wojnę obronną polsko-niemiecką wyruszyłem w dniu 31 sierpnia w stopniu podporucznika rezerwy kawalerii z przydziałem mobilizacyjnym do Ośrodka Zapasowego 58 p.p. w Kutnie na stanowisku dowódcy plutonu zwiadu konnego. Nie było mi jednak dane walczyć w szeregach tego pułku wchodzącego w skład 14 d.p. Załedwie bowiem zdążyłem przeprowadzić ^{reber} remont koni i zorganizowanie plutonu, a już 7 września dowódca Ośrodka, płk Kokoszka wydał rozkaz wymarszu na nowe m.p. w Otwocku.

Kolumna marszowa Ośrodka dotarła przez Łowicz do Milanówka, gdzie została zaatakowana przez czołówki niemieckiej armii okrążającej od południa Warszawę. Część naszego wojska dotarła przez Warszawę do Otwocka. Tam jednak niedługo popasaliśmy ze względu na zagrożenie ze strony niemieckich zagónów pancernych z Prus Wschodnich. Nastąpiła dalsza ewakuacja w kierunku wschodnim i tak, w drugiej połowie września,

znalazłem się w Kowlu, gdzie organizowała się samodzielna grupa operacyjna pod dowództwem płk. dypl. Tadeusza Zieleniewskiego. Zgłosiłem się do tej jednostki. Przydzielono mnie jako dowódcę plutonu do batalionu, którym dowodził ppłk Górniszewicz z poznańskiego DOK VII.

Z Kowla zgrupowanie wyruszyło na zachód po osi Kowel-Luboml-Chełm i z Chełma dalej w kierunku na Trawniki i Piaski. Dnia 25 września batalion osiągnął wies Brzezice, gdzie zatrzymał się na postoju. Następnego dnia wyruszyliśmy w kierunku drogi Lublin-Krasnystaw. Tutaj nastąpiło nasze pierwsze starcie z nieprzyjacielem.

Drogą na wysokości wsi Piaski posuwała się w kierunku Lublina kolumna samochodowa wroga, którą ostrzelaliśmy z broni maszynowej i z działka przeciwpancernego. Kilka samochodów spłonęło. Nieprzyjaciel skierował na nas ogień artylerii i natarciem własnej piechoty usiłował zepchnąć nas od szosy. Natarcie odparliśmy przy stratach własnych dwóch zabitych i kilku rannych. Nieprzyjaciel wycofał się.

Dzień 27 września minął na odpoczynku. W sąsiedniej wsi Fajstławice płk Zieleniewski dokonał przegrupowania oddziału. Ustalił, że całe zgrupowanie miało posuwać się po trzech osiach, w kierunku Sanu. Zachodnią dowodził płk Koc, środkową płk Filipowski, a wschodnią płk Płońka. Batalion ppłk Górniszewicza, w składzie grupy płk. Koca, osiągnął 29 września rejon Janowa Lubelskiego. Otrzymaliśmy wiadomość, że na wschód od Janowa we wsi Dzwola znajduje się batalion żołnierzy niemieckich i duża kolumna samochodów ciężarowych. Była to straż tylna VII korpusu z dywizjonu ppanc. 27 d.p.

W południe rozgorzała w Dzwoli bitwa, którą toczyła grupa płk. Płonki. Jednocześnie nieprzyjaciel zaczął nacierać w kierunku Janowa, usiłując wydostać się z okrążenia. Pododdziały grupy płk. Koca odpierały skutecznie natarcie tak, że nieprzyjaciel znalazł się w okrążeniu, ponosząc ciężkie straty. Plutony naszego batalionu zajęły stanowiska po obu stronach drogi Janów-Biłgoraj. Mój pluton z ciężkim karabinem maszynowym i z karabinem przeciwpancernym jako ubezpieczenie czołowe na lizjerze lasu przylegającego do drogi. Po południu o godz. 14 pojawiła się kolumna nieprzyjaciela z samochodem opancerzonym na czele. Dwa celne pociski z karabinu przeciwpancernego osadziły samochód pancerny na miejscu, co zmusiło kolumnę do zatrzymania się. Z samochodów wysypała się piechota i ruszyła do natarcia. Jednak pod silnym ogniem naszych karabinów maszynowych zaległa i została zmuszona do wycofania się.

Zwycięska potyczka pod Dzwolą i Janowem Lubelskiem zakończyła działania samodzielnej grupy operacyjnej płk. Zieleniewskiego. Następnego dnia maszerujemy w kierunku Łuszczycy Solskiej. Pluton saperów szuka brodu na rzece San. Za rzeką są Niemcy. Jesteśmy otoczeni. Oddziały przeszły do wsi Momoty, gdzie 2 października nastąpiło rozwiązanie grupy. Uniknąłem niewoli. Ppłk. Górnisiewicz zorganizował lekki wóz taborowy z parą silnych koni i zaproponował nam, kilku młodym oficerom, przebicie się lasami w stronę Wisły. Skorzystaliśmy z propozycji i po całonocnej jeździe dotarliśmy do wsi Dąbie koło Dwikoz. Tam przebraliśmy się w cywilne ubrania, zakopując broń i dokumenty wojskowe. Nocą przeprawiliśmy się przez Wisłę do Dwikoz, skąd wróciliśmy do swoich domów. W ten spo-

sób znalazłem się w Kaliszu w moim pokoju, który zajmowałem w domu przy ulicy Łódzkiej 1.

Atmosfera w mieście była przygnębiająca. W kawiarniach i restauracjach pełno żołnierzy fątujących z miejscowymi "volks-deutschami" swoje zwycięstwo. Miasto tonie w hitlerowskich flagach, a kłamliwe i obłudne napisy na murach i słupach głoszą: "Führer hat uns aus dem gluttenen Terror frei gemacht"; gdzie indziej znów po polsku: "Anglio to twoje dzieło". Hitlerowcy wszelkiej maści - SS, SA, Selbstschutz itp. - panoszą się na ulicach i dają pokaz swojej kultury i wyższości nad Polakami, bijąc ich za nie zdjęcie przed nimi nakrycia głowy lub nie zejście z chodnika. Niebawem ukazały się pierwsze czerwone, złowieszcze plakaty informujące, że Sondergericht takiego a takiego Polaka "hat zum Tode verurteilt". Sam byłem świadkiem na placu św. Józefa publicznego morderstwa, dokonanego przez oprawców hitlerowskich "w majestacie prawa" na osiemdziesięcioletnim ks. proboszczu z Chocza.

W tej ponurej atmosferze zostałem wezwany do Starostwa. Domyslałem się, że chodzi o sprawę związaną z moją pracą zawodową w tym urzędzie. Wchodzę do znanego mi pokoju. Wita mnie urzędnik niemiecki i wyjaśnia w czym rzecz. Otóż z pozostawionych w starostwie akt personalnych dowiedzieli się, że jestem Stammdeutsche urodzonym w Niemczech i proponują zatrudnić mnie nadal. Nim zdążyłem się wypowiedzieć w tej sprawie, wszedł niespodzianie do pokoju sam "Herr Landrat von Graff". Urzędnik wskazał na mnie i powiedział kim jestem. Wtedy Landrat zwrócił się do mnie z życzliwym uśmiechem:

- "Ja, Sie sind doch Deutsche"-

- "Nein, ich bin Pole" - odrzekłem.

Nagle wyraz życzliwości na twarzy Landrata zmienił się w wyraz wściekłości:

- "Raus, raus" - wrzeszczał, wskazując palcem drzwi.

Skorzystałem z propozycji pana landrata i co prędzej opuściłem progi gościnnego urzędu. Po tym incydencie uznałem mój dalszy pobyt w Kaliszu za niebezpieczny. Do Środy, do rodziców, również nie mogłem wracać, gdyż uzyskałem informację, że jestem tam poszukiwany przez gestapo jako były działacz Związku Obrony Kresów Zachodnich, późniejszego Związku Zachodniego.

Pewnego wieczoru włączyłem radio i przypadkowo natrafiłem na audycję z Paryża w języku polskim informującą o tworzeniu się armii polskiej pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego. Uważałem wówczas, że jest to jedyna możliwość kontynuowania walki zbrojnej z wrogiem. O organizowaniu w kraju wojska podziemnego w "Służbie Zwycięstwu" nie wiedziałem. To też po przedyskutowaniu sprawy z przyjaciółmi postanowiliśmy wyruszyć za granicę we trzech: Brunon Kurnatowski, kolega ze studiów, ojciec Adam Narloch, ksiądz Franciszkanin i ja. Przedtem jednak musiałem pomóc dzieciom prezydenta miasta w uzyskaniu od Niemców zezwolenia na widzenie się z uwięzionymi ich rodzicami.

Moja gospodyni, pani Szrederowa, przygarnęła po aresztowaniu prezydenta inż. Bujnickiego z żoną, ich dzieci: Leszka i Lilkę. Na usilne prośby zarówno p. Szrederowej jak i dzieci, udałem się do wskazanego mi urzędu przy ul. Józefa Piłsudskiego. Mówiłem dość płynnie po niemiecku, co ułatwiło mi uzyskanie potrzebnej przepustki. Udałem się z Leszkiem i Lilką do więzienia przy ul. Łódzkiej. Kazano nam poczekać w wartowni, dokąd po chwili sprowadzono małżonków Bujnickich. Scena powitania, a następnie zegnania się uwięzionych rodziców z dziećmi

była głęboko wzruszająca. Tkwi ona w mej pamięci do dzisiaj. Prezydenta Bujnickiego hitlerowcy zamordowali w więzieniu w Rawiczu, a pani Bujnicka wyszła z więzienia na pół sparaliżowana. Opuściła z dziećmi Kalisz i zamieszkała w Piasecznie pod Warszawą.

Teror hitlerowski, jaki szalał w pierwszych tygodniach okupacji w Wielkopolsce, wypływał z dwóch motywów. Pierwszy to zemsta miejscowych Niemców na Polakach za ich patriotyzm. Ofiarami padali w pierwszym rzędzie powstańcy wielkopolscy i działacze Związku Zachodniego. Drugi - to zastraszenie dla złamania ducha oporu Polaków. Wynikiem tego były przeprowadzone w miesiącu października masowe, publiczne egzekucje, jak na przykład w Środzie, Kostrzynie, czy Kościanie.

Te bestialskie mordy hitlerowców pogłębiły we mnie chęć odwetu zarówno za napasę wrzeźniosą, jak i za teror po wrzeźniowy. Toteż ponaglałem moich towarzyszy do jak najspiesniejszego wymarszu, celem dotarcia do wojska polskiego we Francji. Postanowiliśmy wyruszyć na początku listopada. Trasa, jaką przestudiowaliśmy według szkolnego atlasu Romera, wiodła przez trzy państwa: Węgry, Jugosławię i Włochy, przy czym należało sforsować cztery granice i przebyć dobrych parę tysięcy kilometrów. Wszystkie te trudności nie zrażały nas. Przyswiecała nam bowiem myśl o potrzebie włączenia się do dalszej walki za ojczyznę. Konkretnie wybraliśmy trasę Kalisz-^{Włocławek} Przełęcz Użocka-Użkorod, włączony, jak wiadomo, w 1938 roku do Węgier, bezpośrednio z terenów polskich. Prosty ten zamiar nie powiódł się. Do Lwowa co prawda dotarliśmy w połowie listopada, ale z informacji uzyskanych od spotkanych przypadkowo znajomych wynikało, że granica na Węgry jest od kilku dni pilnie strzeżona przez wzmocnioną straż graniczną z psami tak, że

prawie niemożliwością jest tam się przedostać.

Wiadomości te nie ostudziły naszych zapałów. Dzięki Ojcu Adamowi zamieszkaliśmy w klasztorze O.O.Franciszkanów. Kilku-dniowy pobyt we Lwowie wykorzystaliśmy na szukanie kontaktów umożliwiających przejście do Rumunii. Kontakt taki uzyskałem od znajomego lekarza, dr.Stanisława Sikory, późniejszego naczelnego chirurga polskiego szpitala wojskowego pod Monte Casino. Kontakt znajdował się w przygranicznym miasteczku Horodenka. Dotarliśmy tam szczęśliwie. Trzyosobowa komórka przerzutowa: listonosz, organista i kapral nadterminowy włączyła nas do partii, mającej wyruszyć za kilka dni. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami zameldowaliśmy się w oznaczonym dniu, wyposażeni w białe prześcieradła. Zbiórka kulkunastoo-sobowej grupy na cmentarzu w ciemną grudniosą noc i przemarsz jej w białych okryciach ośnieżonymi polami, sprawiała niesamowite wrażenie. Po kilku godzinach marszu przewodnik wskazał nam słup graniczny z godłem państwowym i napisem: "Rzeczpospolita Polska", a z odwrotnej strony "Romania". Skok przez jar - i przed nami osada fabryczna /cukrownia/ Stefaneszti. Rumuńska straż graniczna przewiozła nas najbliższym pociągiem do Czerniowiec i osadziła w więzieniu. Opiekę nad więźniami polskimi roztoczyła żona konsula, pani Bujnowska.

Sąd rumuński skazał nas na zsyłkę do obozu internowanych w Busau . Nie pobyliśmy tam długo. Wkrótce zjawili się emisariusze wojskowi z naszej ambasady w Bukareszcie, celem zakwalifikowania zgromadzonego w obozie zateriału lddzkiego zdolnego do służby wojskowej, na wyjazd do Francji. Szybko weszliśmy w tryby rozkręconej już maszyny organiza-

cyjnej. Zaopatrzone nas w ciepłe kurtki i bilety na przejazd do Bukaresztu. Zalecono przy tym zachowanie maksimum ostrożności, by nie dać się złapać żandarmom i nie wrócić pod konwojem spowrotem do obozu. W ten sposób znalazłem się w grupie kandydatów na wojaków, sam - bez moich towarzyszy kaliskich.

Machina działała sprawnie: w ambasadzie polskiej w Bukareszcie otrzymałem paszport na przejazd do Jugosławii.

Przez Belgrad i Zagrzeb dobiłem do Splitu nad Adriatykiem, gdzie ^{mieścił się} punkt zborny do dalszej podróży morskiej do Marsylii. Zastawiono nas, kilkuset chłopów, na statek grecki "Patris" i popłynęliśmy spokojnym Adriatykiem, poprzez cieśninę Mesyńską, w sztormową pogodę Morza Śródziemnego. Wzburzone fale młotały kruchym, trzeszczącym w szwach statkiem, zaś pasażerowie zmagali się z chorobą morską.

Po kilku burzliwych dniach dobiliśmy wreszcie do Marsylii. Na ziemi francuskiej tryby kręcącej się coraz sprawniej maszyny zetknęły nas od razu po zejściu na ląd z przedstawicielami polskiej armii. Witają nas rotmistrz *Kredenc*, późniejszy dowódca 15 pułku ułanów poznańskich w II Korpusie, zachęcając z francuska słowami: "dépêchez vous, messieurs" ^{1/} do wsiadania do podstawionych samochodów, które miały nas zawieźć do pobliskiego obozu wojskowego w Camp de Carpiagne. I tak znalazłem się znów, po klęsce wrześniowej, w wojsku polskim.

1/ "Szybciej, panowie".

3. W Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie.

Przybywając do Francji spodziewałem się spotkać kraj nowocześnie uzbrojony i dobrze przygotowany do wojny, o wysokim morale i dyscyplinie. Tymczasem, spacerując po ulicach Marsylii, doznałem - jeżeli nie rozczarowania - to pewnego niepokoju o dalszą przyszłość. Widziałem żołnierzy francuskich i kolorowych, tych z kolonii, niedbale ubranych, w porozpina- nych płaszczach, z długimi szalami owiniętymi dokoła szyi, z przyklepionym do wargi papierosem, a na słupach ulicznych kolorowe plakaty z zaznaczonymi na mapie świata licznymi posiadłościami zamorskimi Francji i buńczucznym napisem - Nous vaincrons, puisque nous sommes les plus forts^{1/} - napisem żywo przypominającym nasze nasio przedwrześniowe - silni, zwarci, gotowi.

Obok tych plakatów wianiały gdzie niegdzie napisy o za- barwieniu defetystycznym: Bas la guerre! Vive la paix!^{2/} Takie nastroje nie przemawiały za tym, by Francja zdołała przeciwstawić się potędze militarnej Niemiec. Przeciętny Fran- cuz nie chciał tej wojny, a całą nadzieję pokładał w linii Maginota, wierząc, iż ona obroni go przed atakiem Niemców.

W Camp de Carpiagne posegregowano nas w ten sposób, że oficerów wysłano do Paryża, a podoficerów i szeregowych do centralnego obozu wojskowego w Coëtquidan, zwanym z polska Koczkodanem. Tak więc na początku marca 1940 roku znalazłem się w Paryżu w koszarach Bessières, gdzie zostałem zweryfiko-

^{1/} Zwycięzyny, bo jesteśmy najsilniejsi.

^{2/} Precz z wojną! Niech żyje pokój.

wany jako ppor.rez. i skierowany do Ośrodków Szkoleniowych oficerów w Luçon, a następnie do Val André w Bretanii. W miesiącu maju wysłano nas do Granville na kurs ppanc., po ukończeniu którego zorganizowano w kompanie ppanc., uzbrojone w działka 40 mm. Zanim jednak zdołaliśmy wejść do akcji, Francja skapitulowała, a rozproszone wojsko polskie ewakuowano częściowo do Anglii.

A więc nie spełniły się moje, jak i wielu innych żołnierzy polskich, pragnienia wzięcia na Niemcach odwetu za wrzesień 1939 roku w walce u boku francuskiego alianta. Walczyli nieliczni, których zdążono odpowiednio przygotować i uzbroić: 1 Dywizja Grenadierów, 2 Dywizja Piechoty /internowana w Szwajcarii/, pół Brygady Pancerno-Motorowej gen.Maczka i kilka eskadr lotniczych. Pozostała znaczna część wojska znajdowała się jeszcze w stadium organizacyjnym. Osobiście żu-dziłem się, że moje niespełnione pragnienia ziści się na wyspie ostatniej nadziei, jaką była dla nas po klęsce Francji, Anglia.

Ewakuowane z Francji wojsko polskie rozmieszczono w Szkocji w obozach pod namiotami. Do obozu w Crawford, gdzie znajdowało się skupisko kilkuset oficerów z gen.Łuczyńskim z DOK Kraków na czele, przybył w końcu czerwca Naczelnny Wódz gen.Władysław Sikorski w towarzystwie gen.Gustawa Paszkiewicza. Sikorski przemówił do nas, zebranych na placu przed namiotami, w tonie ostrym, potępiając knowania niektórych oficerów z gen.Dąbem Biernackim na czele, wykorzystujących klęskę Francji oraz ewakuację tylko części polskiej armii, do ataków przeciwko Naczelnemu Wodzowi. Rebelianci zostali aresztowani i izolowani na wyspie Rotesay. Sikorski ostrzegał przed wszelkimi objawami niesubordynacji wśród oficerów, a na

koniec omówił ogólną sytuację wojenną i perspektywy dalszej walki.

Wkrótce potem otrzymałem przydział do 10 psk. wchodzącego w skład 10 Brygady Kawalerii Pancernej gen. Maczka. Brygada wsiadła się we wrześniu, walcząc jako jednostka zmotoryzowana w składzie armii Kraków. Niemcy respektowali czarną brygadę /die schwarze Brigade/, która dawała im się porządnie we znaki. Stąd tradycją stało się noszenie munduru z czarnym naramiennikiem.

W 10 psk. pełniłem funkcję dowódcy plutonu w szwadronie. Służba na pół wojenna, na pół poligonowa. Stanowiliśmy obronę przeciwinwazyjną szkockiego wybrzeża na odcinku od Edynburga do Montrose. Pogotowie przeciwinwazyjne trwało do połowy 1941 roku, a po tym okresie zaczęło się żmudne szkolenie i przekształcanie brygady w dywizję pancerną.

W podgórskiej miejscowości Kirriermuir uczestniczyłem w kursie pancernym dla młodszych oficerów brygady. Zajęcia - jak na każdym kursie - monotonne, szare. Toteż chętnie przyjąłem propozycję mojego kolegi pułkowego Janka Salwy udania się na kulkudniową wędrowkę pieszą w góry. Ruszyliśmy przez urocze wrzosowiska, z których co pewien czas wyfruwały spod naszych nóg szare parawy i dotarliśmy do górskiej osady Clova i tam, w zacisznym pensjonacie, spędziliśmy wieczór i noc. Następnymi kilka dni wędrowaliśmy szczytami gór, a noce spędzaliśmy w napotykanym na halach schludnych, drewnianych szałasach pasterskich, o tej porze roku nie zamieszkałych. Ostatniego dnia naszej wyprawy, kiedy schodziliśmy ze szczytu w dolinę małej rzeczki, rozglądając się za jakimś miejscem na nocleg, ukazał się oczom naszym tuż

za rzeczką okazały budynek w stylu alpejskim. Po godzinnym marszu dotarliśmy do pałacu, na którego frontonie widniał napis: "Castle Balmoral" z informacją, że został wybudowany za panowania królowej Wiktorii. Okazało się więc, że trafiliśmy przypadkowo do rezydencji letniej królów angielskich. Wokół żadnego śladu człowieka - czyste pustkowie w ośnieżonym krajobrazie. Brama otwarta. Wchodzimy na obszerny dziedziniec; drzwi do holu uchylone, widać stylowe meble na podłodze wyścielonej pięknym perskim dywanem. Nie wchodzimy do wnętrza, by nie złamać świętej zasady angielskiej, mianowicie, "My Home is My Castle" ^{1/}, co w sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się brzmiało by raczej odwrotnie: "My Castle is My Home" ^{2/}. Ale przespać się trzeba. Na szczęście znaleźliśmy po przeciwnej stronie dziedzińca otwarte pomieszczenie dla służby, gdzie spędziliśmy spokojnie noc. Następnego dnia opuściliśmy opustoszałą, rzec by można bezpieczną, rezydencję królewską i udaliśmy się do pobliskiego miasteczka Braemar, skąd autobusem przez Aberdeen-Forfar wróciliśmy do Kirriemuir.

I tak minęło blisko dwa lata mojego pobytu na wyspie "ostatniej nadziei", a o rychłym udziale w toczącej się obok nas wojnie nie było jakoś słyhać. Walczyli co prawda lotnicy i marynarze, a co bardziej niecierpliwi zapaleńcy zgłaszali się do lotnictwa, jak również do formującej się samodzielnej brygady spadochronowej generała Sosnkowskiego. I mnie również udzielał się ten nastrój niecierpliwego oczekiwania. Toteż, kiedy zaproponowano mi przeszkolenie w służbie cichociemnych i przelot do kraju, zgodziłem się bez wahania.

1/ "Mój dom jest moim zamkiem".

2/ "Mój zamek jest moim domem".

W kwietniu 1942 roku zostałem powołany na kurs wywiadu wojskowego w Glasgow, zaszyfrowany jako Oficerski Kurs Doskonalenia Administracji Wojskowej. Kurs, w odróżnieniu od innych w jakich uczestniczyłem dotychczas, o tyle był interesujący, że zbliżał realnie do udziału w wojnie na cichym froncie. Uczestniczyli w nim przeważnie ci, którzy już zasmakowali walki z wrogiem - młodzi podchorążowie, podhalanie spod Narwiku, lotnicy po wykonaniu 50 lotów bojowych i żołnierze sławnej 10 Brygady Kawalerii Panc. Zapoznawano nas z metodami walki na cichym froncie, poczynając od struktur organizacyjnych Wehrmachtu, SA, SS, Gestapo itp. a kończąc na technice fotografowania, szyfrowania i sztuce nadawania depeasz radiowych alfabetem Morse'a. Dużo teorii mającej w praktyce służyć jednemu celowi - zdobycie na wrogu jak najwięcej informacji, które by posłużyły własnym sztabom do pokonania wroga.

Aby jednak móc zrealizować postawione przed nami zadania i znaleźć się w okupowanym kraju na cichym froncie walki z wrogiem, należało wpierw nauczyć się skakać z samolotu. Tej sztuki nauczono mnie w Małpim Gaju. Oficjalna nazwa tej instytucji brzmiała co prawda znacznie dłużej i poważniej: Ośrodek Szkoleniowy Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Largos. Ale nazwa Małpi Gaj była używana potocznie. Przyjechałem tam we wrześniu 1942 roku na dwutygodniową zaprawę. Program szkolenia przewidywał trzy kolejne etapy: sucha zaprawa, skoki z wieży spadochronowej w Małpim Gaju, potem skoki z samolotu w Ringway koło Manchesteru. Szkolenie w Małpim Gaju na trapezach, huśtawkach i wywrótkach przypominało raczej zabawę w cyrkowym lunaparku. Dopiero skoki z balonu i samolotu wymagały koncentracji i silnej woli w przełamaniu

każdorazowo strachu przed wskoczeniem do dziury wylotowej samolotu. Technika skoku przez dziurę w podłodze samolotu transportowego typu Halifax była następująca: nad dziurą siedało czterech skoczków w kombinezonach i kaskach ochronnych, na plecach spadochron przyczepiony karabińczykiem długiej linki do wieszaka na ścianie samolotu. Stojący nad dziurą dispatcher, zwany z polską wykidajłem, z chwilą zapalenia się czerwonego sygnału daje komendę: "action station" czyli "uwaga! pogotowie", zaś po zapaleniu się zielonego światełka: "go" czyli "skacz!" Wtedy skoczkowie w odstępach sekundowych jeden za drugim skaczą do dziury. Linka spadochronu napina się, wyciąga z pokrowca zwinięty spadochron, a jej cienka końcówka złączona z czaszą spadochronu urywa się pod ciężarem spadochroniarza. Pępowina łącząca go z samolotem zostaje zerwana. Skoczek gasi wahania otwartego spadochronu operując odpowiednio linkami, opada z szybkością 4 metrów na sekundę, tuż przed ziemią podciąga się na linkach dla zamortyzowania uderzenia, spada na ziemię gimnastyczną wywrotką i natychmiast uwalnia się od spadochronu. W tym celu należy przekręcić o ćwierć obrotu klamrę spinającą na piersiach szelki spadochronu i uderzyć w nią lekko. Spadochron odłącza się od ramion skoczka, który w ten sposób unika wleczenia po ziemi w podmuchach wiatru.

Technika doskonale wypracowana zawiodła niestety trzykrotnie podczas cichociemnych skoków do Polski. 17 lutego 1943 roku ppor. Bolesław Suchciewicz - "Bystrzyc" i 20 maja 1944 r. kpt. Jan Serafin - "Czeremcha" zabili się przy skoku z powodu nieotwarcia się spadochronu. 18 października 1944 r. nie urwała się linka od spadochronu podpułkownika Leopolda Kri-

zera - "Czeremosz". Skoczek zawisł pod samolotem z nie otwartym spadochronem. Dispatcher sądząc, że linka zaczepiła się gdzieś na zewnątrz, odciął ją. Ppik. Krizer zabił się upadając na drzewo.

Kiedy już opanowałem, po dwunastu skokach, sztukę spadochroniarską, trzeba było jeszcze przejść kurs odprawowy w Audley End koło Cambridge. Tam uczono nas "instyktownego strzelania z coltów" /w nocy na błysk latarki/, pomagano w utrzymaniu dobrej kondycji fizycznej, a na zakończenie opracowano każdemu odpowiednią legendę na pierwszy dzień pobytu w Polsce.

W oczekiwaniu na odlot znalazłem się w grupie dwudziestu cichociemnych na stacji nr 10 w pobliżu lotniska Tempsford. W lutym zrywano nas dwukrotnie do odlotu. Odlot dwukrotnie odwoływano z powodu stwierdzenia w ostatniej chwili złych warunków atmosferycznych na trasie bądź nad placówką odbiorczą. Dopiero 13 marca 1943 roku zawieziono nas na lotnisko w Tempsford, gdzie na pasie startowym stało gotowych do odlotu pięć halifaxów. Na lotnisku żegna nas w imieniu Naczelnego Wodza szef Oddziału VI, płk. Protasewicz, a jego adiutant podaje każdemu hasło na placówkę odbiorczą oraz adres i hasło na lokal kontaktowy. Wchodzimy czwórkami do wyznaczonych samolotów.

Jesteśmy kolejną, dwudziestąpiątą ekipą odlatującą do Polski. Każdy z pięciu samolotów z obsadą czterech skoczków plus załoga stanowi samodzielną operację oznaczoną angielskim kryptonimem. Mój samolot, który wystartował jako drugi, to "Brick" - "cegła", zaś placówce odbiorczej w kraju nadano kryptonim "Żbik". Trafiłem szczęśliwie do halifaxa

z polską załogą pod dowództwem kapitana Kuźmińskiego. Moi towarzysze to: "Wołk" - por. Antoni Chmielewski, "Alfa" - ppor. Stefan Jasiński i "Azot" - ppor. Władysław ^{Ma}Kasyś; mój pseudonim - "Drozd".

A więc nareszcie lecimy. Oddycham z ulgą. Odprężam się. Siadam wygodnie, otulony w śpiwór, obserwuję mijany krajobraz. Zapada zmrok, a potem noc. Widać już tylko spienione fale Morza Północnego. Ucinam małą drzemkę. Nagle budzi mnie gwałtowny pochył spowodowany skrętem samolotu. Spoglądam w dół. Widzę rozpryskujące się pociski. Samolot zniżył lot tak, iż odnoszę wrażenie, że lada chwila zaczepi o wierzchołki drzew. W świetle księżyca widać wyraźnie zabudowania i szachownicę pól.

- To nic, panowie - uspakajał nas dispatcher - lecimy lotem koszącym, aby uniknąć ognia artylerii.

Szczęśliwie przelecieliśmy nad Danią. Jesteśmy nad Bałtykiem. Zbliżamy się do wybrzeży Szwecji. Zdala widać już światła, od widoku których odwykliśmy, żyjąc w kraju, gdzie panował wojenny "black-out". Samolot zmienia kurs na południe. Do Polski już nie daleko.

4. Znowu w Kraju.

"Halifax" przecina wybrzeże Bałtyku gdzieś koło Słupska i po niedługim czasie dociera nad Wisłę w rejon Tczewa; kierując się dalej wstęgą Wisły osiąga Płock, potem kurs na południe, w rejon Koniecpola, gdzie winna znajdować się placówka odbiorcza. wymiana sygnałów radiowych "eureka-rebeka"; z dołu zabłyśły światła latarek, ułożonych w kształcie strzały.

Skacze numer pierwszy, za nim trzech pozostałych. Ja skaczę jako drugi na podwójnym spadochronie ze stukilową paką nad głową. Chłopcy z placówki pozbierali nas wraz ze sprzętem bardzo szybko i sprawnie ewakuowali do pobliskiej wsi Bystrzanowice.

Dwie noce marszu, i o świcie dobijamy do stacji Kolejowej Rudniki na trasie Częstochowa-Warszawa, skąd bez przeszkód przyjechaliśmy do Warszawy. Trafiamy do lokalu kontaktowego przy ul. Marszałkowskiej róg Nowogrodzkiej. Po wymianie haseł na temat kupna wełny, przyjmuje nas miła pani. Zjawiają się "ciotki", nasze opiekunki na czas aklimatyzacji. Teraz dalsze nasze losy spoczęły w niewidzialnych rękach organizacji.

Po kilku dniach łączniczka zaprowadziła mnie na ulicę Grójecką w pobliżu placu Narutowicza do "Dzięcioła", płk. Mariana Drabika, szefa O.II KG AK. Rozmowa pół-służbowa, pół-prywatna, w wyniku której otrzymuję przydział na inspektora do ekspozytury o kryptonimie Lombard. Szef Lombardu "Prezes", mjr Edward Jetter, przekazał mnie kierownikowi komórki AW /agencyjno-wywiadowczej/ "Majstrowi Ignacemu" /por. Stefan Łapicki/, z którym miałem rozpocząć współpracę. Majster nadał mi z miejsca pseudonim "Nordyk", a to z tej przyczyny, iż Prezes uprzedzając go o moim do niego przybyciu, określił mnie jako wysokiego, szczupłego blondyna w typie nordyka.

Przez pierwszych parę dni Majster powierzył mi redagowanie dwóch stałych pozycji do "Mewy", tj. okresowego meldunku wywiadowczego do centrali Oddziału II Komendy Głównej. Pozycje obejmowały "O de B" czyli rozmieszczenie wojsk niemieckich na terenach polskich, na zapleczu frontu wschodniego.

oraz nastroje wśród wojska i ludności niemieckiej. Danych do pozycji pierwszej dostarczał co tydzień "Maks", przedwojenny podoficer zawodowy. Maks był zatrudniony na stacji rozrządowej Fort Bema, skąd kierowane były transporty wojskowe na wschód; pracował przy przetaczaniu wagonów i składaniu pociągów. Z nalepionych na wagonach adresów wielkich jednostek /dywizji/, do których było kierowane zaopatrzenie, dowiadywał się o aktualnych ich miejscach postoju. Adresy i nazwy jednostek wykuwał na pamięć, po czym, po ukończeniu pracy, sporządzał szczegółowe wykazy. Do opracowania drugiej pozycji wykorzystywałem dostarczone mi fotokopie setek listów żołnierzy niemieckich, pisanych do rodzin w Rzeszy.

Już na początku mojej pracy konspiracyjnej zetknąłem się oko w oko z gestapo. A było to tak: pewnego dnia wyszedłem z Majstrem Ignacym z "Mirowki" /lokal konspiracyjny przy ul. Mirowskiej/ na spotkanie z Maksem. Spotkanie miało się odbyć w małej, niepozornej restauracji przy ul. Chłodnej. Idziemy ulicą Elektoralną w kierunku Chłodnej i kiedy dochodzimy do ulicy Solnej, widzimy przed sobą idący w tym samym kierunku co my patrol żandarmerii, a w mijanej bramie jeden z żandarmów i trzech cywilów sprawdza jakiegoś mężczyznę. Zwalniamy kroku i stajemy na chwilę przy Solnej, aby nie wyprzedzić idącego przed nami patrolu. W tej samej niemal chwili otacza nas trzech gestapowców - "Hände hoch" rozkazuje jeden z nich, po czym następuje nerwowe macanie po kieszeniach i: "Ausweis , bitte". Mam co prawda oryginalną kenkartę, wystawioną na fałszywe nazwisko Józef Kowal, ale słaby dowód zatrudnienia w charakterze pracownika młynarskiego. Na moje szczęście, szefa grupy wypadowej zainteresowała osoba Majstra,

na mnie nie zwracał uwagi. Raz po raz spoglądał to na fotografię, to na twarz Majstra, i coś mruzczał pod nosem. Wreszcie pada z jego ust krótkie: "kommen Sie mit". Majster rusza, a ja pozostaję na miejscu. Obstawiający mnie gestapowiec waha się chwilę, ale widząc oddalającą się trójkę, rusza sam za nimi do samochodu. Kątem oka widzę jak siadają do samochodu, wtedy wolnym krokiem idę w kierunku Hali Mirowskiej, potem przyspieszam kroku, aby jak najprędzej dotrzeć do Korab, kierownika komórki bezpieczeństwa, by zawiadomić go o zatrzymaniu przez gestapo Majstra Ignacego.

Po paru tygodniach Majster wyszedł z Szucha, gdyż okazało się, że nie jego gestapo poszukiwało, ale innego mężczyzny o podobnej powierzchowności i fizjognomii.

Po tej poglądowej lekcji chodziłem ostrożnie i czujnie jak kot, tym bardziej, iż wkrótce sam stałem się obiektem zainteresowania ze strony gestapo, kiedy to aresztowano kilku moich kierowników sieci.

Poza współredagowaniem "mewy" nadzorowałem działalność sieci wywiadowczych. Sieć wywiadu według wówczas przyjętego schematu, to kierownik plus kilku agentów rozpracowujących, poprzez dostarczanie ważnych informacji, konkretny obiekt lub zagadnienie z dziedziny zbrojeniowej przeciwnika. Sieć "Magika" penetrowała np. produkcję uzbrojenia do samolotów na Okęciu w zakładach Skoda, zaś sieć "Klary" dostarczała cennych informacji o produkcji takich zakładów zbrojeniowych jak IG Farbenindustrie, Azoty Chorzów i Kędzierzyn, czy huta Batory i huta Ferrum. Uzyskiwane informacje i materiały podlegały mojej wstępnej obróbce, po czym szły do biura studiów /Besta/, a dalej do centrali O.II.aG AK.

Sztab aliancki, do którego trafiały ostatecznie nasze

co cenniejsze informacje, zainteresowany był szczególnie niemiecką produkcją lotniczą i nowymi rodzajami broni, które propaganda gebelsowska określała jako Wunderwaffe lub Vergeltungswaffe. Depesze z Londynu zawierające zadania dla wywiadu AK zalecały zwrócenie uwagi na basen morza Bałtyckiego, gdzie Niemcy produkują jakąś nową tajemniczą broń lotniczą.

Tutaj przypomniał mi się znajomy kupiec bydgoski Bernard Kaczmarek, który kiedyś przy piwie opowiedział mi dziwną historię o tym, jak jego organizacja podziemna skierowała ^{do Rze-} legalnie przez Arbeitsamt niejakiego inżyniera Szredera, a ten przyjechawszy na jednodniową przepustkę ze Szczecina do Bydgoszczy reorganizował "Sękwę", członkowi tejże organizacji, o jakichś bliżej nie sprecyzowanych doświadczeniach na wyspie Usedom /Uznam/, dokąd przedsiębiorstwo, w którym był zatrudniony, dowoziło żywność. Co prędzej spotkałem się z Kaczmarkiem i, mając do niego pełne zaufanie, zaproponowałem mu współpracę z Lombardem. Okazało się, że Kaczmarek należał do organizacji pod nazwą "Miecz i Pług", w której ukończył podchorążówkę ze stopniem podchorążego, pseudonim Wrzos lub Jur, oraz że utrzymuje łączność z komórką M.i P. w Bydgoszczy, którą kieruje właśnie Sęk, Augustyn Fräger - Austriak z pochodzenia. Upewniłem się w komórce bezpieczeństwa Lombardu co to za organizacja, ten Miecz i Pług. Zalecono mi ostrożność, gdyż podejrzewano kierownictwo tej organizacji o współpracę z Niemcami. Podejrzanie to sprawdziło się w przyszłości i sami członkowie M. i P. zlikwidowali zarajców, oczyszczając w ten sposób organizację, której szeregowi członkowie byli dobrymi Polakami i patriotami. Co do Kaczmarka-wrzosa i jego ludzi, nie miałem żadnych wątpliwości.

Polecień zatem Wrzosowi jak najszybsze ściągnięcie

do Warszawy Sęka. Sęk, legitymujący się legalnymi dokumentami niemieckimi, przyjechał do Warszawy bez żadnych trudności. Na spotkania z Wrzosem i Sękiem ustaliłem sposób wykorzystania komórki bydgoskiej celem uzyskania jak największej ilości informacji o prowadzonych na wyspie Usedom doświadczeniach lotniczych. Kiedy wymieniłem nazwę Usedom, Sęk poinformował mnie, że syn jego jest podoficerem łączności i pełni w tym charakterze służbę w Peenemünde. Sęk dowiedział się od syna, że oficjalna nazwa poligonu doświadczalnego to Luftwafferversuchanstalt Peenemünde oraz, że z nadbrzeżnych wyrzutni są wystrzeliwane torpedy powietrzne - Lufttorpeden - jak to określił. Była to bardzo cenna informacja, którą natychmiast przekazałem do centrali. Odwrotnie otrzymałem zadanie uzyskania szczegółowych informacji o tajemniczym pocisku powietrznym i o rozmieszczeniu wyrzutni.

Skorzystałem z pobytu Sęka w Warszawie i na najbliższym spotkaniu ustaliliśmy wspólnie ramy organizacyjne i zadania komórki bydgoskiej, której nadaliśmy kryptonim "Bałtyk". W skład komórki Bałtyk wchodziły trzy sieci, z których najważniejszą, bydgoską, z zadaniem obserwacji rejonu Szczecina, podjął się kierować Sęk. Dla wykonania zadania, jakie przekazała centrala, Wrzos pojechał z Sękiem do Bydgoszczy. Sęk ściągnął syna do Bydgoszczy pod pozorem śmiertelnej choroby matki. W toku bezpośredniej rozmowy uzupełniono wymagane informacje. Ustalono, że pocisk z lotkami i statecznikiem w kształcie małego samolotu, kierowany z wyrzutni radiem, leci w nadanym kierunku z szybkością samolotu myśliwskiego. Fräger-junior opisał dodatkowo rozlokowanie hal montażowych i wyrzutni, co Wrzos utrzymał na odręcznym planie sytuacyjnym. Sporządzony plan z notatkami dostarczył Wrzos do Warszawy za

za pośrednictwem pomocnika maszynisty kolejowego Ferdynanda Słonimskiego, pseudonim Zając.

Zdobyte tą drogą informacje przekazałem do centrali, a centrala pilną depeszą radiową nadała do Londynu. W dniu 17 na 18 sierpnia 1943 roku kilkaset nocnych bombowców zbombardowało Peenemünde. Zniszczenie tej bazy opóźniło o co najmniej pół roku wystrzelenie pierwszej bomby latającej na Londyn.

W jesieni 1943 roku i wiosną 1944 rozegrał się drugi akt dramatycznej pogoni wywiadu AK za tajemnicą Wunderwaffe, którą tym razem okazał się pocisk raketowy V₂. Dramat rozegrał się na terenach polskich. Po zniszczeniu bowiem bazy w Peenemünde Niemcy postanowili przeprowadzić dalsze próby poza zasięgiem alianckich samolotów. Wybrali na to teren południowy Polski, położony koło Mielca poligon artyleryjski, wykorzystywany przez sojska SS pod nazwą SS Truppenübungsplatz-Heidelager. Wysiedlono wieś Bliznę i przy pomocy więźniów pobliskiego obozu koncentracyjnego w Pustkowie pobudowano obóz wojskowy, a w nim hale montażowe, koszary i wyrzutnie rakiet. Ponieważ teren obozu był pod stałą obserwacją pobliskich placówek AK, obwodów Dębica i Kolbuszowa, centrala była na bieżąco informowana o wszystkich poczynaniach Niemców.

Wkrótce rozpoczęto próbne wystrzeliwanie rakiet. Wiadomość ta dotarła również do mnie, a udzielił mi jej Aleksander Pieńkowski - "Klimont", trudniący się kolportażem prasy podziemnej w terenie. Klimont był zaufanym członkiem Wrzosa i za jego pośrednictwem trafił do mnie. Klimont zaproponował wysłanie obserwatora w rejon Blizny, do znajomego lesniczego na Sokaniu, Władysława Ziętowskiego. Skierowaliśmy tam zwiadowcę "Rafała" - Jerzego Kukulskiego. Lesniczy przyjął Rafała

jako fikcyjnego robotnika leśnego, umożliwiając mu w ten sposób przeprowadzenie obserwacji. Pewnego dnia, ukryty w zagajniku, zobaczył krążący w górze samolot obserwacyjny. Jednocześnie usłyszał od strony Blizny wybuch, który jak grzmot przewalił się nad lasem i oto ujrzał, jak nad drzewami wzbijał się w górę dużych rozmiarów pocisk, ciągnąc za sobą warokocz dymu i ognia. W chwilę później hałaśliwy grzmot ustał i pocisk runął na las, wywołując ogłuszający wybuch, po czym nastąpiła cisza. Tylko samolot krążył nadal nad lasem, zataczając coraz mniejsze koła.

Taką relację wraz z kawałkiem odłamka rozerwanego pocisku i kopią mapy poligonu Pustków-Blizna dostarczył mi Rafał parę dni później. Oczywiście meldunek tej treści poszedł natychmiast do centrali.

Wywiad terenowy AK meldował w początkach 1944 roku o tajemniczych wybuchach ciężkich pocisków w rejonie Rejowca, Wyszkowa i Sarnak. O Sarnakach powiadomił mnie znowi nieoceniony Klimont, którego zaliczyłem już do etatowych żołnierzy Lombardu. Klimont dowiedział się od swoich kolporterów, że nad Bugiem koło Sarnak znajduje się niewypał pocisku, ukryty w nadrzecznych zaroślach. Decyzja była krótka: trzeba dotrzeć na miejsce. Zabrałem ze skrytki leikę /aparat fotograficzny/ i wyruszyłem z Klimontem do Sarnak. Po przybyciu na miejsce znajomi Klimonta zaprowadzili nas nad rzekę i pokazali zanurzoną do połowy w wodzie raketę. Był to owalny korpus żeliwny z poskręcanyimi rurkami aluminiowymi, zakończony otworem dyszy. Zrobiliśmy zdjęcie, a następnie udaliśmy się na jedno z miejsc wybuchu pocisku. Stanęliśmy nad kraterem, długości 20 m, szerokości 15 m i głębokości 6 m. Krater był oczyszczony z odłamków. Pozostała tylko drabina oparta

o jego ścianę. Ciekawy ten obiekt sfotografowałem, po czym udaliśmy się do miejscowego kowala, u którego znajdował się jeden ze zbiorników z paliwem rakiety. Kowal stwierdził, że paliwo to ma właściwości samozapalne, więc używał go do podgrzewania żelaza, które obrabiał na gorąco. Zabraliśmy do butelki próbkę płynu. Chłopcy przynieśli jeszcze części radia rakiety, i tak obłowieni udaliśmy się do stacji kolejowej Platerów. Czekamy na peronie na przyjazd pociągu, a tu nagle z kieszeni gumowego płaszcza Klimonta słychać syk i wybuch płomień. Stojący obok żołnierz Wehrmachtu zaniepokojony przygląda się. Uspokoilem go, mówiąc, że od trzymanego w kieszeni zapalonego papierosa zapaliło się pudełko zapalek. "Co za nieostrożność" - odrzekł na to. Oczywiście nie wsiedliśmy do nadjeżdżającego pociągu, lecz wróciliśmy do Sarnak po nową próbkę płynu. Tym razem użyliśmy butelki po lemoniadzie, z porcelanowo-gumowym zatrzaskiem. Następnym pociągiem wróciliśmy już bez przeszkód do Warszawy.

Biuro Studiów Lombardu wysłało do centrali meldunek specjalny wraz z próbką płynu, odbitkami zdjęć i częściami radiowymi rakiety. Analizę płynu wykonało konspiracyjne laboratorium chemiczne Politechniki Warszawskiej. Badanie wykazało, że tajemniczym płynem jest nadtlenek wodoru, czyli woda utleniona w osiemdziesięciu procentach, w stężeniu dotąd nie spotykanym.

Klimont jeszcze kilkakrotnie jeździł do Sarnak, przywożąc coraz to więcej części i różnych odłamków po wybuchach rakiet. Na tej podstawie biuro studiów opracowało kilka kolejnych "mew" z nagłówkiem "Neue Waffen". W oparciu o materiały Lombardu i materiały dostarczone przez terenowe placówki AK,

wydział lotniczy O.II.KG AK z inżynierem Antonim Kocjanem na czele opracował rekonstrukcję rakiety, którą w miesiącu lipcu 1944 r. dostarczono mostem powietrznym do Londynu.

Z wybuchem powstania warszawskiego w dniu 1 sierpnia zakończyły się walki na cichym froncie i rozpoczęła się otwarta walka na śmierć i życie. Powstanie zastało mnie w Warszawie przy ulicy Polnej 45a, gdzie mieścił się mój lokal konspiracyjny. Dołączyłem ochotniczo do Zgrupowania "Golski" /3 baon panc./; brałem udział w walce o politechnikę i w obronie barykad przy ulicy Polnej i Noakowskiego. Ranny pod koniec powstania, zostałem ewakuowany do Milanówka. I tak pod koniec wojny znalazłem się tam, gdzie we wrześniu 1939 roku przeszedłem mój pierwszy chrzest bojowy.

Sionna